

# **Mysłakowice**

## **1945 rok.**

**Pierwsi osiedleńcy –  
świadkowie tamtych dni,  
relacje mieszkańców.**

Rozmowy z mieszkańcami przeprowadził Emil Pyzik.

**Mysłakowice**  
**1945 – 1946 r.**  
**Pierwsi osiedleńcy –**  
**świadkowie tamtych dni,**  
**relacje mieszkańców.**

Mysłakowice 2000 – 2010 r.

**Książka ta powstała po rozmowach jakie przeprowadził emerytowany nauczyciel fizyki Emil Pyzik z niektórymi mieszkańcami naszej miejscowości, którzy jako pierwsi osiedlili się po II wojnie światowej w Turońsku – Mysłakowicach. Pierwsi mieszkańcy przybyli na ten teren z różnych stron dawnej Rzeczypospolitej jak: ze wschodu, zachodu, Wielkopolski, Małopolski, przeszli szlak bojowy w armii LWP, wrócili z przymusowych robót w Niemczech, a nawet wrócili cali ze straszego pobytu na Syberii gdzie zostali skazani w 1940 roku po wkroczeniu armii ZSRR na dawne tereny wschodnie RP.**

- 1. Maria Guzowska – ur. wschodnie rubieże RP.**
- 2. Czesława Marczak – ur. Wielkopolska.**
- 3. Jadwiga Wolniewicz – ur. Wilno.**
- 4. Zofia Karwan – ur. Świętokrzyskie.**
- 5. Marianna Gieron – ur. Lubelskie.**
- 6. Barbara Szymczak – ur. Wielkopolska.**
- 7. Wanda Piwowar – ur. Kraków.**
- 8. Józef Miśko – ur. wschodnie rubieże RP.**
- 9. Roman Majkut – ur. Podkarpackie.**
- 10. Antonina Rapior – ur. Wielkopolska.**
- 11. Maria Sopałowicz – ur. Wielkopolska.**
- 12. Zofia Niżnik – ur. Francja.**
- 13. Helena Krzywiec – ur. Grodno.**
- 14. Luiza Fichtner – ur. Kowary.**
- 15. Jadwiga Bieniek – ur. Lwów.**
- 16. Zofia kupczyk – ur. Sosnowiec.**
- 17. Józefa Piendel – ur. wschodnie rubieże RP.**
- 18. Władysław Kocuba – ur. Białoruś.**
- 19. Jan Wolak – Małopolska.**
- 20. Wojciech Waligóra – ur. Małopolska.**
- 21. Jan Gródek – ur. Małopolska.**
- 22. Wojciech Szkarłat – ur. Małopolska.**
- 23. Jan Nowak – ur. Małopolska.**
- 24. Wysziedlenie z Bukowca – Thummel.**

**Na przymusową robotę do Niemiec zesłani zostali;  
Piwowar, Miśko, Rapior i Sopałowicz.**

**Na Syberię przymusowo wywieziono:  
Piendel, Guzowską i Kocuba.**

**Szlak bojowy w LWP przeszli: Majkut i Linkiewicz.**

Greifswald 1.12.1998 rok.

### **Wysiedlenie z Bukowca – Mechtbild Thummel i siostra Waltraud Lorenz.**

Bardzo się cieszę z przysłanych przez pana odbitek pokazujący Bukowiec jaki musieliśmy zostawić w tamtych tragicznych czasach. Ciągłe je oglądam bo przypominają mi i mojej siostrze nasze dziecinne i młodzieńcze lata, które spędziliśmy na Śląsku w Bukowcu. Szczególnie bliskie są nam zdjęcia stawu gdzie kąpaliśmy się jako jeszcze dzieci oraz cmentarz, gdzie pozostawiliśmy swoich najbliższych.

Teraz opiszę szczegóły o które pan prosił na temat wysiedlenia, choć od tamtych przykrych dni minęło już 52 lata.

Już od końca wojny czyli od maja 1945 roku, czuliśmy się bardzo przygnębieni koniecznością opuszczenia naszej ukochanej wioski – naszej Małej Ojczyzny. Jednak do samego końca nie chcieliśmy uwierzyć że do tego kiedyś dojdzie. Że trzeba będzie wyprowadzić się z rodzinnego domu, domu naszych rodziców i dziadków. Mocno wierzyliśmy w to, że Polacy w niedługim czasie będą musieli opuścić zajęte tereny, a granica między Polską a Niemcami będzie ustalona na Nysie Kłodzkiej, a nie na Łużyckiej.

Gdy Rosjanie zaczęli się wycofywać, to na ich miejsce masowo zaczęli przyjeżdżać Polacy, którzy zajmowali nasze domy i gospodarstwa. Wtedy okazało się, że to co nam mówiono, było tylko zwykłą plotką. Lepiej mieli gospodarze do których przyjeżdżali Polacy z Galicji, ponieważ oni przynajmniej znali się dobrze na prowadzeniu gospodarki.

Było to wczesną wiosną 1946 roku gdy obudziłem się wcześnie rano, ponieważ usłyszałem na podwórku głośne rozmowy i ostre pukanie do drzwi wejściowych w domu u sąsiada. Przed jego domem stał wójt – sołtys, który poinformował go że starzy Schubertowie za kilka godzin mają się przygotować do transportu. Po spakowaniu najpotrzebniejszych rzeczy mają czekać koło pomnika z I wojny światowej, czyli obok dużego starego drzewa które jest otoczone pięknym i kutym z żelaza płotem.

We wsi powieszono informację że wszyscy Niemcy zostaną repatriowani do stref okupacyjnych w Niemczech. Przez całe lato w krótkich odstępach czasu, wszyscy mieszkańcy wioski w grupach po 25 osób, będą zbierać się na placu zbornym koło ówczesnej stolarni Loschego. Dom ten stoi do dzisiaj po lewo obok Karczmy Sądowej. Najpierw poszli rolnicy, którzy jako pierwsi poszli pieszo do Jeleniej Góry. W późniejszym czasie mieszkańcy odwożeni byli do Jeleniej Góry konnymi wozami z plandekami razem z ich bagażami. Moja matka rozdawała każdej rodzinie jakiś werset z biblij, który wcześniej napisała ręcznie na skrawkach papieru.

W początkowym okresie wysiedlania przy pożegnaniu były kościelne dzwony, później zostało to zabronione – zakazane. Do dzisiaj widzę jeszcze zapłakane twarze swoich sąsiadów i znajomych i ten straszny ból który każdy odchodzący strasznie przeżywał, jeszcze słyszę ich ostatnie słowa pożegnania. Zdarzało się i tak, że jeden z transportów wrócił z powrotem do Bukowca. Pani mieszkająca w sąsiednim domu, obiegała swój dom dookoła, ale niestety nie mogła już do niego wejść, gdyż był już zapieczętowany i wyznaczony do zajęcia przez zgłaszających się Polaków. Rano następnego dnia, ta sama sąsiadka musiała jeszcze raz przeżyć ponowne wysiedlenie.

Z upływem tygodni, we wsi było już coraz mniej Niemców, pozostawali tylko bardzo potrzebni robotnicy i ich rodziny którzy pracowali w fabrykach: dywanów w Kowarach, fabryce porcelany w Kowarach i Mysłakowicach, fabryce filców w Kowarach, fabryce lniarskiej w Kowarach i Mysłakowicach. Robotnicy pracujący w tych fabrykach zostali zatrzymani po to aby podtrzymać produkcję zakładów oraz w celu przyuczenia pojawiających i zastępujących ich Polaków na ważnych stanowiskach. Wszyscy zatrzymani wyjechali w 1947 roku lub jeszcze później.

Nasza matka zmarła akurat przed samym wysiedleniem w dniu 10 września 1946 roku, wobec tego nie musiała już przeżywać tej strasznej traumy i rozterki związanej z

wysiedleniem. Po pogrzebie matki na tutejszym cmentarzu ewangelickim, nasz ojciec, moja siostra i ja przyszliliśmy do domu, przed którym stał już wójt – sołtys Rospondek i jego zastępca Janek. Co miała oznaczać ta wizyta już domyślaliśmy się. Był to znak dla nas, że i dla nas już nadszedł czas wyjazdu repatriacji.

Wczesnie rano dnia 11 września, przed naszym domem stała już przygotowana furmanka z zaprzęgiem konnym. Po pożegnaniu z tymi którzy jeszcze pozostali, załadowaliśmy swoje tobołki i pieszo za wozem podążyliśmy w stronę Krogulca. Konnym wozem przez Karpniki, koło stawów, przez Łomnicę zawieziono nas do Jeleniej Góry do punktu zbornego który znajdował się na lotnisku obok dworca kolejowego.

Na lotnisku był zbiorczy lagier dla wysiedlonych z różnych stron Jeleniej Góry. Tam to właśnie spotkaliśmy starego barona i jego żonę Rotenhanów z Bukowca, którzy gospodarowali po Redenach. Tam również spotkaliśmy ich starą, bo 92 letnią ich matkę, syna Wenera, dwie stare wychowawczynie, jego szwagierkę Emmę z Rotenhan oraz rodzinę Wimmer z naszego osiedla.

Na lotnisku w specjalnych barakach siedzieliśmy do następnego dnia, gdy wtedy rozdzielono nas do wagonów towarowych które zostały podstawione na bocznice. Do wagonu w którym byliśmy weszła pani z Krogulca w mokrym ubraniu, bo ona z rozpaczy rzuciła się do rzeki.

Od wtorku aż do niedzieli jechaliśmy albo staliśmy na bocznicach z całym transportem. Po przekroczeniu granicy na Odrze w Forst, wszyscy wyrzucili do wody białe opaski które musieliśmy nosić na ubraniach jako ludność niemiecka. Na dworcach kolejowych dostawaliśmy czasem ciepłą herbatę lub zupę. Jednak całe wyżywienie spoczywało na nas, czyli na tym co zabraliśmy ze sobą. W wagonach siedzieliśmy na swoich bagażach. Dla starszej pani Rotenhan, zebrano specjalny fotel wiklinowy. Przez całą drogę pani ta była bardzo spokojna. Razem w naszym wagonie jechali różni pastorzy z powiatu jeleniogórskiego i dlatego było nam z nimi trochę różnie. Podczas jazdy zapoznaliśmy się z wieloma ludźmi. W naszym wagonie jechała również żona – wdowa po Hauptmannie ze Szklarskiej Poręby.

Byliśmy pierwszym transportem z powiatu jeleniogórskiego którzy zostali wyładowani w rosyjskiej strefie i już nie szliśmy do zachodniej strefy Niemiec. Na dwutygodniową kwarantannę wysłano nas do Suhl w Lesie Turyńskim gdzie w zakładach Simson leżeliśmy na słomie w dużych salach – halach. Tam otrzymaliśmy niezbędne środki żywnościowe, ale dopiero tu właśnie rozpoczął się czas wielkiego głodu.

W Bukowcu można było sprzedać Polakom różne materiały lub nawet ubiory za co można było wtedy nabyć pożywienie. W pomieszczeniu w którym mieszkaliśmy był piec do ogrzewania, więc kobiety jako bardziej zapobiegliwe, nabrały sporo koksów którym zaczęliśmy mocno palić. Piec jednak tego nie wytrzymał i pękł. Tak oto zakończyły się zapasy na zimę a wraz z nimi i ciepło którego teraz tak bardzo brakowało. Dla wszystkich srogi mróz i głód dał się mocno we znaki tej zimy.

Mój ojciec otrzymał stanowisko przy parafii ewangelickiej w jednej z wiosek koło Suhl, więc mieliśmy już gdzie mieszkać i za co żyć. Wielu ludziom z naszego transportu udało się wyjechać do Zachodniej strefy Niemiec.

W 14 dni po naszym przybyciu z Bukowca, wyjechała następna grupa Niemców, wśród nich były 3 stare panie. Jedną z nich była nasza organistka z kościoła ewangelickiego. Trafiły one na bardzo duże mrozy i musiały dużo cierpieć zanim dojechały do celu ich podróży.

Wysiedlenie było dla nas wielkim szokiem i załamaniem że w takich warunkach i dlatego musieliśmy opuścić swoje rodzinne strony. Ja miałem wtedy 16 lat i zapewne inaczej to przeżywałem niż nasz tato. W latach 70 tych, gdy można już było jechać do Polski, odwiedziliśmy Bukowiec i naszego wójta Rospondka oraz jego zastępcę Janka. Byliśmy również u gospodarza u którego pracowałem w 1945/46 roku. Gościnnie również byliśmy przyjęci u proboszcza Jahimiaka i jego matki. Odwiedziliśmy również nasz stary cmentarz.

## 1. Maria Guzowska.

Maria Guzowska ur. 27 sierpnia 1923 r. w Majkowie pow. Równe woj. wołyńskie, jako córka Józefa i Angeliny z domu Bogdaniec. Ojciec był kierownikiem 6 klasowej szkoły powszechnej w Chorowie, a matka nauczycielką. Ojciec był również oficerem rezerwy WP.

Do dziś pamiętam obraz domu rodzinnego – niewielkiego służbowego mieszkania w szkole, czyli szkoła była moim domem. Do dyspozycji mieliśmy dwa pokoje i izbę dla ojca. Oprócz rodziców i mnie razem z nami mieszkała również babcia. Nie żyliśmy w dobrobycie, bo z dwóch skromnych nauczycielskich pensji, rodzice utrzymywali jeszcze dwóch kuzynów którzy byli w liceum. Nigdy jednak nie byliśmy głodni.

Marysia, szkołę powszechną rozpoczęła w 1929 roku, a ukończyła w 1935, następnie poszła do gimnazjum w Ostrogu nad Horyniem zdając małą maturę w 1939 roku, gimnazjum miało nachylenie humanistyczne. Moim zamiarem było iść do liceum przyrodniczego w Dubnie, bo rodzice mieli nadzieje że będę się kształcić w kierunku medycznym. Po pomyślnym egzaminie wstępnym zostałam przyjęta do szkoły średniej. Niestety stało się inaczej, we wrześniu wybuchła wojna i dalsza nauka była już niemożliwa.

Dnia 1 września ojciec poszedł na front jako oficer rezerwy w stopniu kapitana do punktu zbornego w Chełmie Lubelskim, a mama w zastępstwie ojca przejęła kierownictwo szkoły. Po rozbiciu jego jednostki a następnie wkroczeniu Armii Czerwonej z ZSRR dnia 17 września, ojciec został aresztowany przez NKWD w październiku. Następnie zwolniony i ponownie aresztowany dnia 5 grudnia 1939 roku. Śledztwo w jego sprawie rozpoczęło się 11 grudnia. Po wyroku osadzono go w Zdołbunowie, Ostrogu i Równem, skąd dnia 18 maja 1940 roku został wywieziony do Kijowa. Mama wysyłała paczki do więzienia ale bez prawa widzenia.

Po wkroczeniu Rosjan, szkołę powszechną przemianowano na rosyjską z językiem rosyjskim, do której uczęszczały miejscowe dzieci. Marysia podjęła dalszą naukę w Ostrogu, ale już w szkole rosyjskiej w IX klasie zgodnie z ich zarządzeniem.

Na początku lutego 1940 roku rozpoczęła się wywózka Polaków w głąb Syberii. Pierwszymi ofiarami byli osadnicy, którzy po I wojnie przybyli tu z centralnej Polski. W celu spolonizowania terenu, sprzedawano im ziemię na tym obszarze. Prawdopodobnie wywieziono ich w okolice Archangielska. Od nich to dostaliśmy wiadomość o śniegu, mrozie i pracy oraz zakwaterowaniu. Teraz wszyscy Polacy byli pełni obaw o swoje życie – każdy się domyślał że może go spotkać podobny los.

Dnia 13 kwietnia Marysie zabrano ze stacji i na małej furmance zawieszono ją na stacje kolejową. Jadąc przez wieś, sąsiadki podrzucały jej różne jedzenie na wóz jak: chleb, słoninę. Każdy wyjeżdżający mógł ze sobą zabrać tobolek o wadze do 50 kg. Z mama spotkała się dopiero w wagonie deportacyjnym – bydłęcym. Do mieszkania mamy milicja i NKWD weszło nad ranem ze słowami: **ubieraj się jesteś przesiedlona**. Czas był krótki na zebranie trochę żywności i ubiorów oraz dokumenty. Na dworze czekały już podstawione furmanki. Babcia nie otrzymała pozwolenia na wywózkę gdyż była już za stara. Co się później z nią stało, tego nigdy nie dowiedzieliśmy się. Wywieziono nas dlatego że byliśmy Polakami i najbliższą rodzina oficera RP ostatnio aresztowanego.

Na stacji kolejowej w bydłęczach wagonach umieszczono tysiące ludzi – Polaków i razem czekaliśmy 3 dni na odjazd, który nastąpił dnia 16 kwietnia 1940 roku. Z pociągu wychodzono tylko po gorącą wodę, ale i wtedy towarzyszyli im żołnierze. O jedzenie nikt się nie troszczył, musiało im wystarczyć to co zabrali ze sobą. Bardzo złe warunki i zbyt duża ilość ludzi na małej powierzchni wagonu, powodowało to że wiele ludzi zaczęło chorować, a nawet umierać. Ciała zmarłych osób wyrzucano na najbliższym przystanku na pole. Ale ten transport był w lepszej sytuacji niż poprzedni w lutym, bo teraz było znacznie cieplej niż w zimie. Dlatego nikt nie zamarzł z zimna.

Podróż trwała dwa tygodnie i dnia 1 maja dotarliśmy do północnego Kazachstanu do miejscowości Mamlutka. Po załadowaniu wszystkich na ciężarówkę zawieziono ich do kolchozu Ulianowka odległego od stacji o 60 km. Tam otrzymali polecenie znalezienia sobie kwatery u kolchoźników oczywiście za określona zapłatę. Na początku nie pracowaliśmy, a żołnierze powiedzieli „żyjcie jak umiecie – potrafcie”. Większość domów to lepianki, ale były również drewniane domy. Aby jakoś przeżyć rozpoczęto wyprzedaż tego co zabrano ze sobą. Bardzo przydatna okazała się umiejętność robót ręcznych, którą wynieśliśmy ze szkoły powszechnej. Razem z mamą robiłyśmy na drutach i szyłyśmy kosyneczki – jest rodzaj chusty która chroni głowę przed upałem, nosiły ją wszystkie kobiety. Jako materiał posłużyły jaśki – poduszki, z których wycinano kawałki w kształcie trójkąta, na których wyszywano jakieś wzory. Te nasze robótki zamieniano na pożywienie.

Każdy gospodarz posiadał zwierzęta jak kury i krowy, więc można było od nich nabywać: mleko, jajka, a nawet mięso. Ponieważ mama zabrała ze sobą ręczną maszynę do szycia, wykonywała więc usługi dla ludności, za co można było opłacić mieszkanie czy wyżywienie. Wielu kolchoźników to dawni mieszkańcy Ukrainy, wysiedleni podczas zakładania u nich kolchozów w latach 30 tych. Mieszkańcy w miarę przychylnie odnosili się do nowych osiedleńców.

Dom w którym mama wynajęła kwaterę, zrobiony był z darni, przykryty słomą, w obejściu gospodarz hodował zwierzęta z których również musiał oddawać daninę dla władzy ludowej. Do pracy zabrano ich dopiero wczesną wiosną 1941 roku. Teraz wykonywali trucie ziarna – zaprawianie ziarna, lub przerywanie słoneczników przeznaczonych na olej, a czasem do plewienia buraków cukrowych. W Kazachstanie klimat sprzyja uprawie roślin. Rosły tam nawet arbuzy. Za każdy dzień pracy otrzymywali mąkę, można było więc upiec chleb. Mimo że życie było ciężkie, ale była jakaś szansa na przeżycie.

Po napadzie Hitlera na ZSRR czyli w czerwcu 1941 roku, kolejny raz przyszło się zmierzyć z nową rzeczywistością. Przedstawiciel powiatu oświadczył że muszą opuścić kolchoz bo są bardzo potrzebni do budowy linii kolejowej. NKWD zawiozło ciężarówką znowu wszystkich wysiedleńców na stację Mamlutka, a następnie wsadzono do pociągu transsyberyjskiego. Następnie zawieziono ich na ciężarówkę na step w pobliże miejscowości Akmolińsk. Teraz zamieszkali w namiotach 20 osobowych tj. kobiety i dzieci. Kobiety jako pracownice kolei mocowały szyny kamieniem i piaskiem. Mechanizacji żadnej nie było więc wszystkie prace wykonywano ręcznie. Podstawowym narzędziem była prosta łopata. Mężczyźni wsuwali belki pod szyny i unosili je, a kobiety sypały piasek i kamienie i ubijały.

Niekiedy brygadzysta budził kobiety w środku nocy aby poszły rozładować nową dostawę piasku. Wszystkie prace na kolei wykonywane były na komendę. Była to bardzo żmudna i prymitywna robota. Kolej płaciła za wykonaną pracę, więc każda rodzina mogła się zaopatrzyć w żywność w przewoźnym sklepie. Dzieci nosiły w bańkach wodę do picia, za co otrzymywały porcje chleba. Z pobliskich pól kolchozowych, pracownicy często podkradali dynie. Każdy pracownik miał prawo zakupu jednego bochenka chleba dla siebie i pół dla dziecka. Podczas pracy na kolei raczej wszyscy byli w miarę najedzeni.

Właśnie na kolei pani Maria poznała chłopca który dla niej bardzo dużo znaczył i nazywał się Pikholtz. Bardzo dużo ze sobą rozmawiali i starali się jak najwięcej ze sobą spędzać czas. Ich znajomość wkrótce przerodziła się w uczucie. Przrzekli sobie że po powrocie do Polski pobiorą się. Wprawdzie po zakończeniu budowy kolei, rozdzielono ich, ale pani Maria po powrocie do kraju znowu z nim nawiązała kontakt. Jednak chłopiec zachorował na gruźlicę i zmarł. Pani Maria powiedziała że była to osoba dla niej bardzo ważna i szkoda że tak to się zakończyło. Budowę linii kolejowej zakończono późną jesienią. Linia ta pobeigła przez północny Kazachstan do Magnitogorska, gdzie mieścił się przemysł zbrojeniowy.

Polscy przesiedleńcy przed rannym wyjściem do roboty śpiewali pieśni: „Kiedy ranne wstają zorze”, „Wszystkie nasze dzienne sprawy”.

W tym czasie więźniowie dowiedzieli się o rozmowach generała Sikorskiego z Rosjanami, w wyniku czego więźniowie z Polski stali się obywatelami polskimi. Otrzymali nagle amnestię. Mogli teraz mieszkać w dowolnie przez siebie wybranym miejscu z wyjątkiem linii frontu. Ponieważ zbliżała się zima, więc Polacy zaczęli się zgłaszać do polskich placówek które zaczęły teraz powstawać jako ambasady lub konsulaty. Każdy otrzymał dokumenty z których wynikało że są obywatelami państwa polskiego, a tylko czasowo przesiedlonymi do ZSRR. Polacy kierowali się w pobliże dworca kolejowego gdzie usiłowali zdobyć kwaterę i żywność.

Na stacji Mamlutka był już polski przedstawiciel oraz magazyn z żywnością od państw zachodnich. Nikt teraz nie czuł się tak osamotniony jak podczas budowy kolei, ponieważ aż dwa razy dziennie przejeżdżały tędy pociągi. Każdy z nas dobrze wiedział że wojna dalej trwa. Dawni jeńcy otrzymali pomoc w postaci mąki, smalcu i mleko w proszku. Polaków poinformowano że generał Anders w ZSRR tworzy armię polską, do której mogą zgłaszać się mężczyźni i młode kobiety. Wielu dawnych zesłańców skorzystało z tej okazji i na zawsze opuściło teren ZSRR. Utworzona armia polska słabo dożywiona i kiepsko wyszkolona a jeszcze gorzej wyposażona wnet opuściła teren ZSRR udając się do Iranu a wraz z nią tysiące dzieci i kobiet. W ZSRR opowiadano że Anders wyprowadził zdradziecko swoją armię. Jednak prawda była inna, Anders wyprowadził swoją armię na mocy porozumienia między rządem polskim Sikorskim a angielskim. Wkrótce okazało się że generał nagle zginął, dlaczego ?. Sprawę tą do dzisiaj jeszcze nikt nie rozwikłał.

W 1943 roku przedstawiciele NKWD chodzili po wszystkich domach i wyszukiwali Polaków z zaleceniem by zgłaszali się do Urzędu i przyjmowali radzieckie obywatelstwo. Zdecydowana większość Polaków nie przyjęła proponowanego obywatelstwa, za co zostali osadzeni w więzieniu, a później etapami przewiezieni do obozów pracy przymusowej. Przecież każdy z nas od najmłodszych lat, w domu i w szkole uczony był miłości, szacunku i obrony swojej ukochanej ojczyzny. Więc jak teraz ma się jej wyrzec i dobrowolnie zostać obywatelem ZSRR.

Pani Maria jeszcze do dzisiaj pamięta jaki wielki smutek ogarnął cały naród polski po śmierci marszałka Piłsudskiego. Czyli teraz woleli ponieść wszelkie konsekwencje związane z odmową przyjęcia ich obywatelstwa. Oni już tam wiedzieli, że jeżeli przyjmą ich obywatelstwo, to powrót do ukochanego kraju będzie już niemożliwy. Zaś NKWD uważało że przyjęcie ich obywatelstwa to wielki zaszczyt. Nie mając innego wyjścia, mama z dokumentami poszła do znajomej Rosjanki. Jej mąż był działaczem politycznym i pełnił bardzo ważną funkcję w Urzędzie rejonowym. Mama poprosiła ją, aby włożyła nasze dokumenty do worka z pszenicą i dobrze schowała, mówiąc „Jeżeli dobry Bóg pozwoli to wrócimy po nie”. Kobieta chętnie spełniła prośbę mojej mamy.

Wnet potem pani Maria została aresztowana i osadzona w więzieniu w Pietropawłowsku. W więzieniu spędziła miesiąc czekając na rozprawę sądową. W trakcie rozprawy wręczono jej akt oskarżenia w którym stoi „ w 1943 roku obywatelce Guzowskiej zaproponowano przyjęcie radzieckiego paszportu, lecz ona kategorycznie i demonstracyjnie odmówiła, czyli popełniła przestępstwo”. Za co została skazana na roboty przymusowe na Syberię. Wówczas mamę z córką rozdzielono, bo starsze osoby wysłano do Karagandy. Matka przez dwa lata pracowała w polu zajmując się użyźnianiem ziemi pod uprawę owoców i warzyw w Kazachstańskim Okręgu Węglowym.

Pani Maria wraz z innymi młodymi skazanymi została przewieziona koleją transsyberyjską za Bajkał do miejscowości Ułanude, a później do Dżyda. Ze stacji kolejowej przez 10 dni szliśmy około 300 km pieszo do naszego obozu. Umieszczono ich w barakach na terenie obozu poprawczo – robotniczego (kolonia karna). Pracowali w tajdze w tzw. leśnym



oddziale. Do dyspozycji mieli jedynie ręczne piły którymi we dwie osoby piłowały wskazane do ścięcia drzewo. Ścinane drzewa często miały średnicę 60 cm. Ale nie było wyboru. Każde ścięte drzewo podlegało selekcji: krzywe przeznaczano na opał w kotłach elektrowni, proste i gładkie służyły jako materiał budowlany, szacunku dokonywał brygadzysta. Następnie ładowano na wozy lub na wodę i transportowano do wyznaczonych miejscowości. Ucieczki z pracy były rzadkością ze względu na duże odległości.

Każdy aby otrzymać posiłek musiał wykonać normę. Za 100 % miary przysługiwało 70 dkg chleba i zupa. „Nigdy nie zapomnę dnia gdy kazano mi wsiąść na muła i ciągnąć drzewo z góry w dół, aby wrzucić je do rzeki, którą miało przepłynąć do sąsiedniej wioski. Ale muł jak to muł, stworzenie Boże, więc nic nie powinno stanąć na przeszkodzie podczas wykonywania pracy. Zmieniłam jednak zdanie w połowie drogi, ponieważ zwierze nie chciało w żaden sposób iść dalej. Kompletnie nie wiedziałam co mam zrobić. Zaczęłam płakać, bo bałam się, że nie będę miała co jeść. Szczęście się jednak do mnie uśmiechnęło, bo zauważył mnie mężczyzna skośnooki i zapytał dlaczego jestem smutna ? Gdy mu powiedziałam co się stało, on uderzył zwierzę mocno w tyłek i muł ruszył w dalszą drogę. Więc po skończonej pracy dostałam swoją porcję czyli kawałek chleba i zupę, oprócz tego jeszcze kociołek gorącej wody”.

Latem i jesienią była jeszcze możliwość dożywić się leśnymi owocami. Na Syberii rośnie bardzo dużo jagód, malin i dzikiego czosnku. Czosnek to naturalny lek na szkorbut. To on był składnikiem każdej zupy. Miał bardzo nieprzyjemny zapach ale wspaniale pomagał. Każdemu przydzielono kufajkę i buty zwane CZETEZE. Jest to skrót nazwy fabryki która ze zniszczonych opon robiła te buty. W ciągu dwóch lat pobytu w tej okolicy powstało miasto liczące 60 tysięcy ludzi. Były w nim: teatr, biblioteka, szkoła, gmach NKWD. Dopóki wojna trwała, nikogo stamtąd nie wypuszczano, lecz kto odbył karę musiał się tam osiedlić.

Latem w czasie południa była przerwa na skromny posiłek. Pani Maria za dobrą pracę została nawet wyróżniona, na czerwonej tablicy, za co otrzymała większą porcję chleba. Baraki były drewniane, obszerne, łóżka piętrowe i jeden piec do opalania drzewem. Każdy barak miał sprzątaczkę która dbała o porządek i paliła w piecu. Najczęściej była to osoba chora lub niezdolna do pracy w lesie. Jeden z baraków przeznaczony był dla matki z dzieckiem, które akurat tam urodziły.

Gdy w ZSRR formowała się II jednostka Wojska Polskiego, tym razem pod nadzorem ZSRR tzw. I Dywizja im. Tadeusza Kościuszki w Siedlcach nad Oką, młodzi mężczyźni którzy tam jeszcze byli, mogli z tego skorzystać i udać się do powstającego Wojska Polskiego. Jednym z kapelanów był tam ks. Kubsz. W późniejszym czasie pracował w parafii w kościele garnizonowym w Jeleniej Górze. Dom w którym mieszkał stoi do dziś i widnieje na nim pamiątkowa tablica o kapelanie I dywizji WP.

Mama i córka w marcu 1945 roku zakończyły odbywanie kary w obozie za odmowę przyjęcia radzieckiego paszportu i ich obywatelstwa. Spotkanie odbyło się w Mamlutce, gdzie wszyscy czekali na repatriację. Tam też powstała komisja polsko – radziecka do kwalifikowania ludzi na odpowiedni transport. Cieszyliśmy się że wreszcie możemy powrócić do domu do swojej ojczyzny której przecież się nie wyparliśmy. Mama z córką się odnalazły i razem przygotowywały się do powrotu.

Mama poszła do znajomej Rosjanki, u której przechowywano swoje dokumenty. Okazało się że nic nie zginęło. Kiedy im oddawała dokumenty powiedziała że jej mąż walczył z Niemcami pod Stalingradem, gdzie został ranny ale przeżył. Gdy mama zapytała jak za to mamy się odwdziaczyć, ona odpowiedziała „Abyśmy pomodliły się do swojego Boga za nią gdy już zajedziemy do Polski”. Miejscowa ludność Polaków traktowała bardzo dobrze bo wiedzieli że wyrządzono nam wielką krzywdę, wysyłając nas na zesłanie.

Po wypełnieniu odpowiednich dokumentów utrzymałyśmy pozwolenie na powrót do ojczyzny. Po 6 latach zsyłki mogłyśmy wreszcie wrócić do kraju. Pociąg którym jechała

matka z córka podstawiono na Wielkanoc w 1946 roku, a do Polski do Szczecina przyjechał w maju. Jechali znowu wagonami towarowymi, ale już nie zamkniętymi. Znowu o jedzenie musieli zadbać sami. Mama z córka wcześniej ususzyły sobie kawałki chleba i w czasie podróży maczały te suchary w gorącej wodzie – kipiatak. Był to na pewno skromny ale zaspokajający głód posiłek. Teraz nikt nas do niczego nie zmuszał. Każdy z nich był bardzo optymistycznie nastawiony do życia bo wiedział że wraca do kraju.

Nową granicę państwa przekroczone w Brześciu nad Bugiem. Pociąg wiozł ich prawie po całym kraju. Niektórych po drodze odbierały rodziny, nasi znajomi zajechali aż do Szczecina. Niestety miasto było dokładnie zdemolowane. Zakwaterowano ich w dzielnicy willowej, ale te mieszkania nie nadawały się do użytku. Nie zachował się nawet jeden mebel. Wszystko skradziono, zaś szyby wybite. Trudno by było podjąć remont nie mając grosza przy tyłku. Poza tym tu brakowało miejsc pracy. Jedyne zatrudnienie dawała stocznia, ale my nie chcieliśmy pracować fizycznie.

To właśnie tam dowiedziały się od znajomych, że pracę mogą dostać w okolicy Jeleniej Góry na Dolnym Śląsku. Tam w Turońsku – Mysłakowicach zakład lniarski poszukuje ludzi do pracy. A fabryka nie została zniszczona ani rozszabrowana. Postarały się o takie skierowanie i udały się w daleką podróż. W biurze werbunkowym fabryki lniarskiej które mieściło się w Jeleniej Górze, obie panie dowiedziały się że w Orle potrzebują kierowniczkę do zakładowego przedszkola. Był to już czerwiec 1946 roku.

Zaś pani Maria jako młoda dziewczyna miała wtedy zaledwie 23 lata, została skierowana przez podpułkownika Dobrzańskiego do fabryki lniarskiej na przyuczenie do zawodu na tkalnię. Po napisaniu życiorysu i przedstawieniu wykształcenia, panią Marię skierowano na praktykę do działu ubezpieczeń. Kierownikiem działu był jeszcze Niemiec, zaś podwładnymi dwie Polki. Po wyjeździe kierownika do Niemiec, kierownikiem została pani Bluj. Jako dobrze zapowiadającą się młodą pracownicę, kierowano na różnorodne kursy doszkalać i podnoszące kwalifikacje. W 1962 roku podjęła naukę zaocznie w technikum ekonomicznym, które ukończyła w 1964 roku mając już 41 lat. Na zasłużona emeryturę przeszła w 1981 roku. Do dziś mieszka na ulicy Szkolnej gdzie kiedyś mieszkała z mamą.

Po przyjęciu do pracy dostały również mieszkanie, co zapewniało podstawy do życia. Uroku dodawała piękna okolica. Ale czasem czuła się nieswojo bo nie miała żadnych nowych ubrań w których dziewczyna mogła by się prezentować. Pozostałe dziewczyny z Mysłakowic ubierały się już w nowym stylu. Niekiedy wydawało jej się że ludzie widzą w niej nie Polkę lecz Rosjanę. Jednak w zakładzie stopniowo awansowałam i zarabiałam coraz lepiej.

Odnalazłam również mojego znajomego Józefa ze zesłania, niestety był już chory na gruźlicę i wkrótce po naszym spotkaniu zmarł w wieku 25 lat. Pani Maria na jego grób chodzi do dnia dzisiejszego. Jej młodość nie była piękna lecz raczej tragiczna. Czyta wiele książek np. „Wielbłąd na stepie” Jerzego Krzysztonia. Po przeczytaniu zdawało się jej że to ktoś opisał jej życie na zesłaniu. Napisała do niego list w którym przedstawiła jemu swoje uwagi. Okazało się że pan Krzysztoń był również na przymusowym zesłaniu i również pracował na tej kolei. Podobne wrażenie wywarła na pani Marii publikacja „Kumys na deser” pana Karasia. Który jako student również był zesłany do Kazachstanu i również pracował w obozie na stepie. Przeczytała również książkę o zbrodni katyńskiej w której został wymieniony z nazwiska jej ojciec. Do dzisiaj minęło już wiele lat od tamtych potwornych czasów, ale ciężkie chwile które przeżyła w Kazachstanie, nigdy nie znikną z jej pamięci.

Dzisiaj ze względu na już bardzo podeszły wiek czyli 87 lat i bardzo słaby wzrok, pani Maria przebywa w Domu Opieki w Miłkowie pod nadzorem sióstr zakonnych.

Obecna relacja pochodzi z dwóch rozmów odbytych z panią Marią kilka lat temu. Rozmowę pierwszą przeprowadził Emil Pyzik zbierając materiały do swojej książki o pierwszych osiedleńcach w Mysłakowicach, drugą studentka uczelni w Jeleniej Górze która pisała pracę licencjacką na podobny temat.

## 2. Czesława Marczak z ulicy Daszyńskiego.

Pani Czesława z domu Medycka ur. 23 stycznia 1923 roku w Pęczerszewie pow. Turek woj. łódzkie. Rodzice prowadzili gospodarstwo rolne o powierzchni 16 morgów czyli około 8 ha oraz mieli 9 dzieci. Do Szkoły Powszechnej uczęszczała w Chłbowie. Po ukończeniu szkoły przez 3 lata pracowała na gospodarstwie pomagając w pracy rolnej rodzicom.

Na początku maja 1940 roku otrzymała wezwanie z policji niemieckiej w sprawie przymusowego wyjazdu na roboty do Niemiec do miejscowości Wiefels, gdzie pracowała do dnia 1 maja 1945 roku. Całą mieszaną grupę chłopców i dziewcząt zebrano w Kaliszu i pociągiem przewieziono nad Morze Północne do miejscowości Jewer. Zgodnie z zamówieniem gospodarzy wiejskich, młoda grupę dostarczono do pracy na roli. Młodzi polscy robotnicy mieli zastąpić tych Niemców, którzy zostali powołani do wojska na front i opuścili swoje miejsca pracy.

Zainteresowani gospodarze sami wybierali potrzebną im siłę roboczą, co do płci, wieku czy ilości osób. Pani Czesława jako 17 letnia dziewczyna, została wybrana do opieki nad trójką dzieci gospodarza. W razie potrzeby musiała również pomagać w domu czy na roli. Bauer miał gospodarstwo hodowlane składające się z 15 krów i 6 koni oraz mniejszej ilości cieląt i świnek. W późniejszym czasie, gospodarz otrzymał jeszcze dwóch Polaków do pracy w polu i jedną Rosjankę do pracy w obejściu w domu.

Dziewczęta miały malutki pokój na piętrze, a chłopcy pokój na parterze w pobliżu stajni. Wyżywienie było w miarę znośne, traktowano ja prawie jak członka rodziny. Pod koniec wojny do tego gospodarza została skierowana dziewczyna Niemka po szkole. W celu odbycia praktyki gospodarczej. Ona to właśnie doniosła do Urzędu, że Polka podczas posiłku siedzi razem z gospodarzami przy jednym stole i ona przez to często jest głodna z tego powodu. Od tego czasu dziewczęta zostały przeniesione na posiłek do kuchni, a chłopcy spożywali posiłki dalej w swoim pomieszczeniu.

Ponieważ za wykonywaną pracę otrzymywali niewielką zapłatę, więc mogli sobie w sklepach niemieckich lub na starociach, nabywać potrzebne ubiory. Niedziela była dniem wolnym od pracy i można było iść na spacer w pobliskie okolice. Można było pisać listy i wysyłać nawet paczki do rodziny do Polski. Pod koniec wojny, do tej miejscowości przyjechało sporo uciekinierów z Prus Wschodnich których gospodarze musieli zakwaterować oraz karmić.

W pobliskiej miejscowości mieścił się obóz pracy przymusowej dla mężczyzn z Polski, którzy wykonywali różne prace na rzecz powiatowego miasta. Więc w niedziele można było ich odwiedzać i zaprzyjaźnić się. Tam to właśnie Pani Czesława poznała przyszłego męża, który pracował jako pomocnik u rzeźnika. Jego praca polegała na tym, że po każdym bombardowaniu przez wojska alianckie, jeździł wozem po okolicy i zbierał zabite zwierzęta – krowy, konie i przywoził do rzeźni gdzie je rozbierano na części i odstawiano do sklepów.

W późniejszym czasie mieszkał u rzeźnika, którzy traktowali go jak własnego syna, ich syn zginął na froncie. Okolica ta była często nękana przez alianckie samoloty, ponieważ w pobliżu znajdowały się urządzenia wykrywające samoloty. Na szczęście ich domy zostały w całości i nikt z nich nie ucierpiał z tego powodu.

Okolica ta została wyzwolona przez polską 1 Dywizję Pancerną generała Maczka. Po zakończeniu wojny w maju 1945 roku, z tej okolicy wysiedlono wszystkich Niemców, a do opuszczonych domów zakwaterowano polskich pracowników przymusowych i więźniów obozów pracy. W jednym z tych domów zamieszkała Pani Czesława i 2 księży z Armii Krajowej. Polskie wojsko dbało o bezpieczeństwo, porządek i wyżywienie oraz zapewniło opiekę lekarską. Taka sytuacja trwała do marca 1946 roku. Na początku kwietnia 1946 roku obóz został rozwiązany, a Polacy w towarowych wagonach zostali przetransportowani przez

Rosjan do Polski. Podróż trwała dwa tygodnie, wcześniej wszystkim zabrano wszelkie dokumenty i już nigdy ich nie oddano – dlaczego tak postąpiono ?

W maju każdy uczestnik podróży znalazł się w swojej ojczyźnie. Znajomy Pani Czesławy, zaraz po przyjeździe, wraz ze swoim szwagrem panem Sokołowskim, pojechali na Dolny Śląsk. Pani Czesława wróciła do rodzinnego domu. W miejscowości Turońsk – Mysłakowice, obaj dostali pracę w fabryce lniarskiej. Ponieważ już przed wojną pracowali w zakładach włókienniczych w Łodzi, teraz byli cennym nabytkiem dla tego zakładu.

Gdy Pan Władysław Marczak zaokrętował się i otrzymał zapewnienie o pewnej pracy oraz mieszkanie na poczcie, napisał do swojej znajomej dziewczyny poznanej w Niemczech, aby przyjechała bo tu jest piękna okolica, blisko góry i załatwione mieszkanie. W czerwcu po rodzinnej naradzie, Pani Czesława po raz drugi opuściła rodzinne strony i przyjechała do Turońska. Początkowo Państwo Marczakowie mieszkali na poczcie, a później na ulicy Kamiennej. W listopadzie 1953 roku otrzymali mieszkanie w dużym bloku obok fabryki, po opuszczeniu lokum przez niemieckiego inżyniera który wyjechał do Niemiec. Tu Pani Czesława mieszka do dzisiaj.

Otrzymane mieszkanie było zadbane i dobrze utrzymane oraz były w nim podstawowe meble. Pani Czesława została zatrudniona początkowo na szwalni, później w dziale gospodarczym, przygotowalni przędzalni, następnie po ukończeniu kilku kursów otrzymała pracę w księgowości na rozszarni. Ich jedyny synek Andrzej urodził się w 1953 roku i po ukończeniu odpowiednich szkół został policjantem.

Pan Władysław był człowiekiem pogodnym, spokojnym, zaufanym i odpowiedzialnym, dlatego został wytypowany na stanowisko dyrektora zakładu, funkcję tą pełnił przez kilka lat. Później pracował w związkach zawodowych, a następnie przeszedł na emeryturę.

Pani Czesława dalej mieszka na ulicy Daszyńskiego 16, ale już sama bo mąż zmarł w 1991 roku, a syn z rodziną mieszka w Cieplicach. Jest pogodna i chętnie rozmawia o tak odległych czasach mimo że mam już 84 lata. Chętnie udostępniła posiadane dokumenty dotyczące siebie i kochanego męża.

### **3. Jadwiga Wolniewicz z ulicy Fabrycznej.**

Pani Jadwiga Wolniewicz z domu Wieromiej ur. 8 października 1926 roku w Wilnie Trakt Lickl – Oszmiański. Do Szkoły Powszechnej uczęszczała we wsi Kuprianiszki. Rodzice mieli 7 dzieci, a Pani Jadwiga była 5 dzieckiem. Ojciec piastował stanowisko wiejskiego sołtysa. Po wybuchu wojny było cicho i w miarę spokojnie, dopiero dnia 17 września 1939 roku wkroczyli Rosjanie zajmując dawne tereny wschodniej Polski. Wtedy to Polskę podzielono na dwie części niemiecką i radziecką.

Po wejściu Armii Czerwonej, Litwini poczuli się u siebie i przejęli samorząd w mieście. Podczas wojny rodzina zajmowała się uprawą tytoniu, przy którym było sporo roboty zwłaszcza przy suszeniu i składaniu. Rodzina ich nie była prześladowana ani przez Litwinów ani przez NKWD. W 1941 roku wkroczyli Niemcy, jednak działania wojenne szybko się uspokoiły i rodzina nadal zajmowała się uprawą tytoniu. Aby nie zostać wywiezionym na roboty do Niemiec, rodzeństwo wymyślało różne sztuczki i kłamstwa które w pewnym stopniu sprawdziły się w praktyce.

Przy ponownym wkroczeniu Rosjan w 1944 roku po zakończeniu działań wojennych, dwaj bracia musieli wstąpić do Armii generała Berlinga, była to 1 Dywizja im. Tadeusza Kościuszki. Jednak musieli przejść wojskowe przeszkolenie, ale w międzyczasie wojna się skończyła, czyli nie zostali wysłani na front niemiecki. Po ponownym zajęciu ziem polskich przez Rosjan, należało się zdecydować czy przyjmują obywatelstwo radzieckie i zostają w Socjalistycznej Republice Litewskiej, czy mają się szykować do opuszczenia swojej

ojczyzny. Wiosną 1946 roku, po spakowaniu swojego dobytku i zabraniu konia, krowy i małego wozu, wyruszyli na dworzec kolejowy.

Z pociągu wysiedli w Kwidzynie, gdzie mieszkali ich bliscy i znajomi, tam przydzielono im wspólne gospodarstwo z innymi Polakami, którzy przywędrowali tu z Pomorza. Niemców już nie było, bo wcześniej uciekli przed Rosjanami. Aby było z czego żyć zaczęli uprawiać pole. W tym czasie rodzina otrzymała wiadomość od kuzyna, że w Turońsku – Mysłakowicach na Dolnym Śląsku, jest mieszkanie, szklarnia i bardzo blisko fabryka włókiennicza.

Po rodzinnej naradzie, postanowiono wysłać na zwiady 18 letniego brata w sutannie, który już uczęszczał do Niższego Seminarium Duchownego i Panią Jadwigę. Do Turońska przyjechali w lecie. W Turońsku na ulicy Tatrzańskej 12 – Daszyńskiego, jeszcze mieszkali Niemcy. Tam otrzymali do swojej dyspozycji pokój i zaczęli przyglądać się szklarni i ogrodowi. Widząc że okolica jest wspaniała, dom w stanie bardzo dobrym i dobrze prosperująca szklarnia, napisali list do rodziny. Po tej informacji, wnet na zwiady przyjechał tato z zapytaniem czy pozostali mogą też już przyjechać.

Po oględzinach, ojciec wyjechał aby teraz wrócić z całą rodziną w 1947 roku. Po wcześniejszym wyjeździe Niemców, ojciec załatwił w Urzędzie przydział domu, szklarni i warzywnika na rodzinę Wieromiejów, zaś na domu powieszono napis „**Wieromiej i synowie**”. Ogród warzywny i kwiaty w tym domu prowadzili do 1950 roku. Pani Jadwiga postanowiła zdobyć jakiś zawód, zapisując się w Jeleniej Górze na kurs – kroju i szycia. Po jego ukończeniu dorabiała sobie oprócz pracy w ogrodnictwie doraźnym szyciem dla miejscowych kobiet. To tu Pani Jadwiga poznała Wolniewicza, który też przyjechał do Mysłakowic w poszukiwaniu pracy.

Wolniewicz, jeszcze jako 16 letni chłopiec został wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec. Ślub udzielił im ks. Habrat w 1953 roku. Po sprzedaży domu, otrzymali mieszkanie na ulicy Szkolnej, a później w drodze wymiany na ulicy Fabrycznej. Mąż pracował w fabryce lniarskiej, a Pani Jadwiga szyła w domu i niańczyła dwoje dzieci. Po śmierci męża Pani Jadwiga dalej mieszka na Fabrycznej i uprawia swój ukochany ogródek w którym hoduje różne rośliny i sadzonki.

#### **4. Zofia Karwan z ulicy Fabrycznej.**

Pani Zofia Karwan z domu Durda ur. 12 maja 1923 roku w Skopań pow. Tarnobrzeg, w domu były 4 córki. Do Szkoły Powszechnej uczęszczała w rodzinnym Skopań. Rodzice mieli gospodarstwo rolne o powierzchni 4 ha. Gdy Pani Zofia była w drugiej klasie zmarła mama. Po śmierci ojca, wyznaczeni opiekunowie przez Urząd dla dzieci, sprzedali gospodarkę aby zrobić pogrzeb dla ojca, a resztę pieniędzy zatrzymali na utrzymanie dla osieroconych dziewczynek.

We wrześniu 1939 roku we wsi były działania wojenne, ponieważ miejscowość leżała nad Wisłą. Po wkroczeniu Niemców często odbywały się łapanki młodych ludzi, następnie wysyłano ich na roboty przymusowe do Niemiec. Ponieważ młoda 16 latka nieszczęśliwie złamała nogę, dlatego tym razem uniknęła wywózki razem ze swoimi rówieśnikami. Ale w domu przeleżała kilka tygodni, niczym noga się zagoiła.

W lutym 1941 roku, Pani Zofia jako ochotniczka, została wywieziona na przymusowe roboty do Niemiec wraz za swoją siostrę która była już mężatką i akurat miała małe dziecko. Transport z ludźmi zatrzymał się najpierw w Krakowie, gdzie odbyło się mycie i badanie przez lekarza oraz określenie czy wysłani młodzi ludzie, nadają się do określonej pracy i czy czasem nie są nosicielami jakiejś zakaźnej choroby. Po krótkim postoju, teraz już w innych wagonach, wszyscy zostali skierowani do Wiednia. Po przyjeździe i nakarmieniu, dokonano

podziału i Pani Zofia została skierowana do Ulm a stamtąd do Ehingen do gospodarza – bauera Josefa Denkingera.

Właściciel gospodarstwa posiadał dwie gospody, 16 krów, dużo drobiu, traktory, maszyny do pracy w polu oraz duży obszar lasu. Gospodarz miał żonę i 7 dzieci. Pani Zofia razem z kilkoma innymi osobami, zajmowała się pracą w domu i gospodarstwie. Młodzi ludzie wykorzystywani byli nawet do pracy w lesie – do ładowania ściętego drzewa na pojazdy, co dla młodych dziewcząt było bardzo męczące i zarazem niebezpieczne. Ponieważ dziewczęta w tak ciężkiej pracy nie radziły sobie, zostały przydzielone do stajni do ręcznego dojenia 16 krów dwa razy dziennie.

Gospodarz nie zwracał się nad swoimi pracownikami i całkiem znośnie ich traktował, ale jego żona oszczędzała na jedzeniu dla swoich wyrobników i zawsze z pogardą ich traktowała. Dlatego czasem skarżyli się na nią do bauera, co pomagało na jakiś czas. Będąc w szpitalu na wyrostek robaczkowy, po wyzdrowieniu, siostry szpitalne chciały aby Panią Zofię zostawić na opiekunkę dla chorych i do sprzątanania, ale bauer nie wyraził na to zgody. Po kolejnej kłótni z żoną bauera, Pani Zofia uciekła do szpitala, gdzie została przyjęta z otwartymi ramionami i bardzo serdecznie. Po burzliwej rozmowie bauera ze swoją żoną, uciekinierka musiała ponownie wrócić na gospodarstwo z zastrzeżeniem, że tym razem już będzie dobrze. Jak z tego wynika gospodarz, potrafił walczyć o swoich niewolników i nikt nie był w stanie jemu ich odebrać.

Po zakończeniu wojny w maju 1945 roku, wszyscy przymusowi robotnicy z okolicznych miejscowości zostali zebrani w lagrze pod opieką żołnierzy USA. To właśnie w lagrze Pani Zofia poznała przyszłego męża Kostka Karwana i w sierpniu na obcej ziemi wzięli ślub. W obozie przejściowym przebywali razem do 1946 roku, kiedy to wysłano ich przez Czechy do Polski.

W rodzinnych stronach wtedy nie było pracy, ale znajoma Pani Zofii dała jej znać, że tam na Zachodzie Polski w Turońsku – Mysłakowicach, jest pewna praca i mieszkanie. Pierwszy wybrał się mąż w kwietniu 1946 roku, a za nim dnia 15 sierpnia żona. Kwaterunkowy Pan Jan Chmielnicki, przydzielił im mieszkanie na ulicy Fabrycznej gdzie mieszkają do dzisiaj. Pani Zofia otrzymała pracę w fabryce lniarskiej i pracowała tam do emerytury, a mąż na zmianę w Orle i PKSie w Jeleniej Górze. Razem z rodziną córki dalej mieszka w dawnym mieszkaniu, mąż zmarł już wiele lat temu, ale ona jest dalej pogodna.

## **5. Marianna Gieroń z ulicy 1 Maja.**

Gieroń Maria z domu Dudek ur 27 lutego 1927 roku w Zakrzewiu koło Lublina. Rodzice z zawodu byli rolnikami na 16 morgach czyli 8 ha ziemi. Rodzina oprócz rodziców to 4 dzieci – wszystkie dziewczynki, zaś Marianna jako najstarsza. Gospodarstwo posiadało parę koni, 5 krów, świnie, gęsi i króliki.

Do 4 klasowej Szkoły Powszechnej Marianna uczęszczała do wsi Ciechanki Łęczyńskie, zaś szkoła 7 klasowa była dopiero w Łęcznej. Do szkoły chodziła tylko 2 lata, a później pracowała w gospodarstwie rodziców aż do 12 roku życia. W 1940 roku będąc w Zakrzewiu została złapana przez Niemców, jednak rodzice wykupili ją z rąk okupanta za solidną porcję wałówki w postaci gęsi i wódki.

W 1944 roku gdy ofensywa radziecka razem z wojskiem polskim dotarła na ziemię lubelską, dnia 8 lipca Marianna mając 16 lat, zgłosiła się na ochotnika do wojska w Lublinie. Tam została skierowana do 62 szpitala ewakuacyjnego Bobolanów w Lublinie. W szpitalu ukończyła kurs młodej pielęgniarki i jako pełnowartościowa żołnierka w mundurze wojskowym rozpoczęła służbę w wojsku polskim.

Trasa jej polowego szpitala wiodła przez Ryki – Warszawę – Kutno – Gdańsk – Kołobrzeg – Odrę – do Berlina. Jej zadaniem była obsługa rannych żołnierzy. Dowódcą

oddziału była kobieta pochodzenia żydowskiego podpułkownik Trawińska. Zdemobilizowana została dnia 5 listopada 1945 roku w Warszawie. Następnie powróciła do rodzinnego domu gdzie przebywała do lutego 1946 roku.

Wtedy to wyjechała z domu na Ziemię Zachodnie do Jeleniej Góry, a następnie do Mysłakowic. Tu dostała mieszkanie na ulicy Dolnej 3 od Eliasza który wtedy był kwatermistrzem i zamieszkała z Niemką i jej dzieckiem. Do pracy przyjęto ją w DZPL Orzeł na oddział roszarni. W tym czasie w zakładzie pracowało jeszcze większość Niemców. Wyżywienie było na stołówce zakładowej. Marianna zapamiętała że ta wioska zrobiła na niej duże wrażenie, ładne domy, dobre drogi i piękny cmentarz który pamięta do dzisiaj.

Po zlikwidowaniu roszarni, zwolniła się i podjęła pracę w szwalni w Konfeksie w Łomnicy pod Jelenią Górą, dokąd chodziła piechota do pracy. Po 1 roku pracy zwolniła się i podjęła pracę w Szpitalu w Mysłakowicach. Podczas wyjazdu Niemców nie była w domu obecna. Następnie z Panią Olejnik, przeniosła się na mieszkanie na ul. Jeleniogórską. Cały czas utrzymywała łączność z poznanym chłopcem w wojsku i nawet ją odwiedził w Mysłakowicach. Chłopiec pochodził z Lwowa. Marianna zakończyła służbę wojskową w stopniu szeregowca, a jej chłopak jako starszy strzelec.

Ślub odbył się w rodzinnych stronach w Łęcznej w 1947 roku. Wesele było duże. Po powrocie do Mysłakowic mąż otrzymał pracę w DZPL Orzeł na miedlarni. W 1950 roku otrzymali obecne mieszkanie na ulicy 1 Maja po Pani Jasińskiej. Mieli 3 dzieci: Janinę, Urszulę i Jerzego. W późniejszym czasie mąż pracował ZGM i na poczcie jako listonosz. Marianna później pracowała w PKS w Jeleniej Górze oraz jako listonosz w Mysłakowicach. Później jako zaopatrzeniowiec w szkole w Mysłakowicach oraz jako siostra w Czerwonym Krzyżu w PCK.

Za swoją służbę wojskową otrzymała pierwszy stopień oficerski oraz 3 krzyże zasługi i 5 medali. Od wielu lat opiekuje się swoim synem który stracił nogi i jako inwalida potrzebuje pomocy i opieki. Pani Marianna obecna jest zawsze na wszystkich uroczystościach państwowych i kościelnych w gminie i powiecie razem ze sztandarem zbawidowskim. Znana jest również z ciętego języka i wielkiej odwagi w różnych wiejskich sytuacjach, gdzie występuje dzielnie i odważnie bez cienia strachu.

## **6. Barbara Szymczak z ulicy Łokietka.**

Pani Barbara urodziła się 28 listopada 1923 roku w Turku, a zamieszkała w Malanowie. W rodzinie tej było 6 dzieci w tym 4 dziewczynki i 2 chłopców. Do Szkoły Powszechnej uczęszczała w Malanowie, gdzie ukończyła 5 klas. Po szkole przez jeden rok była na służbie u gospodarza jako pomoc domowa w sąsiedniej wiosce. Gdy wybuchła wojna, miała 16 lat i została zatrudniona we dworze jako pracownik w ogrodzie na warzywniaku, zaś w wolnych chwilach jako pomoc domowa. Po kilku miesiącach dawny właściciel dworu, został usunięty, a w jego miejsce pojawił się nowy właściciel ale tym razem Niemiec. Wszyscy wyrobnicy zostali dalej zatrzymani do pracy we dworze tak w domu jak i w polu.

Obecny właściciel Ernst Schlote, dobrze traktował swoich najemników i nikt z jego podwładnych nie znęcał się nad Polakami. Po zakończeniu wojny, nawet proponowali niektórym pracownikom wspólny wyjazd do Niemiec, ale wszyscy odmówili. Po wyjeździe Niemców, jeszcze przez kilka miesięcy wielu najemników dalej pracowało w majątku.

W lipcu 1946 roku, Pani Barbara razem ze znajomymi wyjechała na Ziemię zachodnie do Jeleniej Góry, a stamtąd dalej do Turońska – Mysłakowic. Po przyjeździe okazało się że spotkali tu swoich znajomych jak: Linkiewicz i Małolepszy. Pani Barbara zatrzymała się u znajomej Józko, która przyjechała tu już wcześniej, jest to obecny dom w którym mieszkają Zarembscy i Gąsiorowie na ulicy Wojska Polskiego. Pani Józko, pomogła Pani Barbarze

załatwić pracę w Zakładach Lniarskich Orzeł w Mysłakowicach. Wtedy to już jako pracownik fabryki otrzymała mały pokój na piętrze domu przy ulicy Nadbrzeżnej nr 8.

W fabryce lniarskiej Pani Barbara pracowała z przerwami 36 lat na różnych oddziałach. Po przejściu na emeryturę, jeszcze przez 12 lat pracowała w szkole jako sprzątaczką. W kilka lat później po przyjeździe do Mysłakowic, z tej samej wioski przyjechał do pracy też na Zachodzie Pan Jan Szymczak, z którym zawarli bliższą znajomość i w 1949 roku zawarli ślub małżeński. Już jako małżonkowie, otrzymali mieszkanie na ulicy Łokietka 5, gdzie Pani Barbara mieszka do dnia dzisiejszego. To tu w tym małym mieszkaniu z pokojem i kuchenką urodziło się 6 dzieci: Halina, Jurek, Genowefa, Zdzisław, Janek i Jadwiga. Obecnie Pani Barbara ma 12 wnuków i 8 prawnuków. Mąż Pani Barbary pracował w fabryce lniarskiej. A później w papierni w Miłkowie. Ale przedwcześnie zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku.

Pani Barbara jako starsza osoba jeszcze dobrze się czuje, lubi opowiadać o dawnych czasach, jest pogodna i cieszy się ze swoich dzieci oraz wnuków, które często ją odwiedzają i pomagają w codziennych zakupach. Dom w którym mieszka stoi w pobliżu rzeki Łomnicy i wiosną nieraz straszy swoim nagłym przyborem wody.

## **7. Wanda Piwowar z ulicy Nadbrzeżnej.**

Pani Wanda Piwowar z domu Apostołowicz ur. 1933 roku w Krakowie. W domu było 5 dzieci którym opiekowała się matka. Ojciec jako urzędnik celny do 1937 roku pracował w Krakowie. Po przeniesieniu na Kresy Wschodnie dawnej Rzeczypospolitej, otrzymał mieszkanie służbowe w miejscowości Zdołbunów w powiecie Równe. Po pewnym czasie przeniesiono go ponownie na samą granicę polsko – sowiecką do miejscowości Szepietówka. Po wybuchu wojny matka z dziećmi przeniosła się do Zdołbunowa, gdzie mieli czekać na powrót ojca z delegacji ze Lwowa. Ojciec podjął pracę jako tłumacz, gdyż pochodząc z Pomorza dobrze znał język niemiecki. Tam przetrwali do 1943 roku.

W tym czasie ojciec z najstarszym synem, uciekli do lasu do partyzantki, a Niemcy w odwet za ten czyn, pozostałą rodzinę z matką wywieźli do Niemiec do Bremy. Tam zostali skoszarowani w obozie pracy przymusowej dla Polaków i Rosjan. Pani Wanda będąc tam w obozie miała już 10 lat i razem z innymi dziećmi pracowała na rzecz hitlerowskich Niemiec, bo przecież każda para rąk liczyła się bardzo. Z obozu, dzieci dowożono do szkoły lotniczej, gdzie pracowały w klasach i innych pomieszczeniach wykonując proste czynności. Matka jako osoba dorosła pracowała w pełnym wymiarze godzin na budce kolejowej.

Spanie odbywało się w wielkich pomieszczeniach na drewnianych pryzkach, prowiant otrzymywaliśmy raz w tygodniu, więc należało dobrze nim gospodarować aby starczyło na cały ten okres. Na obiad była bardzo cienka zupa z kartofli lub buraków. Podczas pobytu w obozie, dzieci w ukryciu przygotowywane były do przyjęcia I Komunii Świętej oraz bierzmowania. Do tych ważnych aktów religijnych, dla młodego człowieka przygotowywał dzieci organista, a sakramentów udzielał ksiądz polski. Niekiedy władze obozowe pozwalały wyjść w niedzielę do kościoła lub na miasto.

Obóz został wyzwolony w maju 1944 roku przez wojska angielskie, a następnie przejęty przez armię amerykańską. Wtedy każdy więzień wreszcie mógł najeść się do syta. Wyzwoleni więźniowie otrzymywali normalne racje żywnościowe. Największą radość a zarazem szok, wywołało pozwolenie wyjścia do miasta i zabierania ze sklepów różnych towarów w dowolnej ilości. Porządku w obozie i w mieście pilnowali żołnierze amerykańscy, aby nie dochodziło do samosądów, burd i pijaństwa. Obóz nie mógł być rozwiązany, bo na wschodzie prowadzone były jeszcze działania wojenne w kierunku na Berlin.

Likwidacja obozu nastąpiła w styczniu 1945 roku ku uciesze wszystkich uczestników. Transport w drogę powrotną odbył się drogą kolejową w kierunku południa Niemiec do



Bawarii do miejscowości Hofenfelst. Miejsce to uznano za odpowiednio bezpieczne, podczas gdy na północy prowadzono jeszcze ostatnie walki w broniącym się Berlinie. W obozie tym dawni robotnicy przebywali do czerwca 1946 roku, gdy już zakończono wszelkie działania wojenne oraz spory graniczne i okupacyjne.

Jedzenie otrzymywali systematycznie, w odpowiedniej ilości i smakowało już wolnością. Każdy otrzymał przydziałowe ubiory z UNRy. W obozie poza pracami porządkowymi mieli wolny czas i jako Polacy mogli wszędzie chodzić. Dzieci rozpoczęły przyspieszone kursy nauki szkolnej, aby po powrocie do ojczyzny dorównać miejscowym Polakom i dalej się uczyć i kształcić.

W tym czasie gdy żona z dziećmi pracowała na rzecz Niemiec, ojciec z synem wstąpił do armii polskiej, walczącej razem z armią sowiecką przeciw hitlerowskiemu Niemcom. Obaj przeszli szlak bojowy aż do Berlina. Podczas pobytu w obozie przejściowym, władze amerykańskie umożliwiły Polakom wyjazd na Zachód Europy. Matka po otrzymaniu informacji od ojca, postanowiła z dziećmi wrócić do swojej ojczyzny. Wyposażeni w ubrania i jedzenie, wybrali się w powrotną podróż do Polski. Podczas długiej podróży, część bagaży przywłaszczyli sobie kolejarze.

Mama z dziećmi wróciła do babci w miejscowości Pluskowęsy pow. Toruń z drugiej strony Wisły. Brat Pani Wandy, z własnej woli, został jeszcze na rok w obozie. Siostra Halina została w Bremie, bo tam poznała przyszłego męża Widuchowskiego jeszcze jako żołnierza. Tam też wyszła za mąż i dopiero w 1947 roku razem wrócili do Polski.

Po demobilizacji, ojciec jako były żołnierz osiedlił się w Trzebiatowie, gdzie pełnił funkcje wójta. Latem 1946 roku, matka z dwójką dzieci przyjechała do Trzebiatowa. W Trzebiatowie Pani Wanda ukończyła szkołę podstawową czyli klasę 5,6 i 7. W 1949 roku podjęła naukę w 3 letnim Technikum Ceramicznym w Jedlinie Zdroju, gdzie zamieszkała u Widuchowskich. W 1950 roku zachorowała na serce i powróciła do rodziców do Trzebiatowa, gdzie podjęła pracę w kasynie wojskowym.

W tym czasie Widuchowscy poinformowali mamę że w Mysłakowicach jest praca i możliwość otrzymania mieszkania. Po przyjeździe do Mysłakowic, ojciec otrzymał pracę w fabryce porcelany jako magazynier i mieszkanie na ulicy Nadbrzeżnej. Pani Wanda również podjęła pracę w porcelanie jako kontroler towarów, gdzie pracowała aż do emerytury.

Pan Piwowar jako przyszły mąż Pani Wandy, pochodzi z Mszany Górnej, skąd w grudniu 1945 roku w składzie 9 osobowej rodziny przyjechali do Łomnicy. Tu jako rolnicy otrzymali gospodarstwo rolne wraz z ziemią na ulicy Świerczewskiego 87. Ślubu udzielił im ks. Adam Habrat w kościele w Łomnicy, zaś ślubu cywilnego udzielił Lewandowski. Mąż przez długi czas pracował w nadleśnictwie w Kowarach aż do emerytury.

Państwo Piwowar mają 3 dzieci: Zyta – nauczycielka, Mirka – wychowawca w OHP i Bogusława – pracownik Urzędu Gminy w Mysłakowicach. Wszystkie dzieci są odpowiednio wykształcone i każda z córek założyła swoją rodzinę

## **8. Józef Miśko z ulicy Daszyńskiego.**

Józef Miśko urodził się 16 sierpnia 1924 roku w Turku w woj. lwowskim. W zimie 1942 roku w wyniku łapanek dostał się do obozu w Przemyślu, a później przewieziony do Brzezinki na okres 3 miesięcy. Tam też odbyła się selekcja więźniów pod względem przydatności do pracy. Jako zdrowy 18 latek, został wysłany z innymi pociągiem do Meklenburgii w Niemczech. Tam przydzielony został z innym chłopcem i dziewczyną do pracy u rolnika – bauera Martina Bertels, który posiadał 20 ha ziemi rolnej.

Jego kolega pochodził z Wielkopolski, a dziewczyna spod Wielunia. Ich pomieszczenia znajdowały się na pierwszym piętrze, dziewczyna miała oddzielny pokój. Pomieszczenia do spania nie były ogrzewane, ubrania robocze, buty drewniane. Praca w polu lub gospodarstwie

odbywała się od rana do wieczora. Wyżywienie skromne i proste. Każde oddalenie się od gospodarstwa musiało być zgłaszane gospodarzowi. Za pracę otrzymywali wynagrodzenie 20 marek w miesiącu.

Gdy front zbliżał się do granicy niemieckiej, na wsi kilkakrotnie wzrosła liczba ludności. Bauerowi Martinowi przydzielono 3 przesiedleńców z Berlina tj. matkę z dwójką dzieci. Oni to zajęli pomieszczenie chłopców, którzy musieli się wyprowadzić do obory gdzie przygotowywano karmę dla krów. Tam spali na żelaznych łózkach do końca wojny. Gospodarz miał 3 dorosłych synów, którzy byli na wojnie. Pan Józef nauczył się na tyle języka niemieckiego że potrafił porozumieć się z gospodarzem i innymi mieszkańcami.

Wyzwolenie nastąpiło dnia 1 maja 1945 roku przez Armię Czerwoną ZSRR. Dziewczyna została zgwałcona przez żołnierzy obsługujących katusze, później udała się do innej wioski, gdzie pracował jej brat aby z nim wrócić do ojczyzny. Pan Józef i 2 żołnierzy polskich, którzy byli w niewoli niemieckiej tj. Józef Krasicki i Paweł Ciecuk, zabrali gospodarzowi dwa konie i wóz. Razem jechali do nowej granicy polskiej przez dwa tygodnie. W drodze zabrano im jednak jednego konia. W Niemczech życie powoli wracało do normy, ale pod nowym komandem rosyjskim.

Przez pontonowy most przedostali się przez Odrę do Polski. W Wielkopolsce dojechali do miejscowości Stobnica, gdzie zostali zatrzymani przez miejscowego sołtysa. Tam też pozostał zaprzęg. W Stobnicy zostali do jesieni, gdzie pomagali rolnikom w polu, za co otrzymali mieszkanie i wyżywienie. Polacy mieszkali już z dawnymi gospodarzami – Niemcami. Nasza znajoma 3 mieszkała u Polaków – niektórzy Niemcy już wcześniej wyjechali w obawie przed zbliżającym się frontem. Po jesiennych pracach, cała 3 wyjechała z Wielkopolski przez Wrocław na Dolny Śląsk do Jeleniej Góry.

Do Mysłakowic przyjechali 16 listopada 1945 roku przed południem. Z dworca kolejowego zostali skierowani do fabryki lniarskiej. Obiad otrzymali na zakładowej stołówce. Po posiłku udali się do fabryki, gdzie do pracy przyjął ich personalny w stopniu pułkownika Pan Dobrzański, ojciec Pani Sienkiewiczowej. Pan Miśko dostał skierowanie na mieszkanie na ulicę Kamienną. Przez okres dwóch tygodni, wszystkie posiłki otrzymywał na zakładzie. W fabryce był również szewc i krawiec, którzy naprawiali poniszczone ubrania i łatali dziurawe buty.

Pan Józef jako młody człowiek został wcielony do straży przemysłowej – do ochrony fabryki z odpowiednim umundurowaniem i bronią. W późniejszym czasie dyrektor Glich, skierował go do przyuczenia się na kowala a następnie ślusarza. Tu już Pan Józef pracował do samej emerytury. Spawacz Niemiec – Richard Awers, zaproponował mu mieszkanie, na parterze u Niemca Rudolpha Schitko, który był właścicielem obecnego domu, oraz miał zakład fryzjerski obok piekarni w domu tyrolskim. Tam otrzymał pokój na parterze, a po wyjeździe Niemców przydział na I piętro. Przebywając często na stołówce, zapoznał się z Panią Kazimierą Hrycak, która tam pracowała jako pomoc kuchenna. Mieszkała zaś obok stołówki na II piętrze, w miejscu po dawnym lazarecie w czasie wojny.

Państwo młodzi swój ślub cywilny zawarli w Gromadzkiej Radzie Narodowej w Łomnicy dnia 23 lutego 1946 roku, zaś kościelny w kościele katolickim też w Łomnicy, ponieważ nasz kościół był jeszcze nieczynny. Pan Józef udzielał się społecznie i został wybrany na radnego Gromadzkiej Rady Narodowej w Mysłakowicach, następnie do powiatowej Rady Narodowej w Jeleniej Górze. Pełnił również funkcję ławnika przy kolegium w Jeleniej Górze oraz przy kolegium w Mysłakowicach. Na początku lat 80 tych, podczas stanu wojennego, był członkiem Komisji Robotniczej do kontroli działalności sklepów i punktów usługowych w czasie gdy królowały kartki na różne towary w całym kraju i u nas również.

## 9. Roman Majkut z ulicy Włóknarzy.

Roman Majkut urodził się na wsi w powiecie przeworskim w 1933 roku. Gdy wybuchła II wojna światowa miał 16 lat i jako dorastający chłopiec, wstąpił do tajnej organizacji Strzelec. Po wkroczeniu armii hitlerowskiej dnia 6 września – na wschodnie ziemie Rzeczypospolitej, razem z wojskami polskimi wycofali się na dawna granice polsko – rumuńską. Po wejściu wojsk rosyjskich na wschodnie rubieże dawnej Rzeczypospolitej dnia 17 września 1939 roku, zostali otoczeni i wzięci do niewoli.

Zgromadzono ich we wsi pod lasem i ogrodzono drutem kolczastym, za którym stała straż sowiecka. W nocy, po unieszkodliwieniu wartownika, większość jeńców uciekła do lasu. Nocami i lasami przesuwali się w kierunku stron ojczystych. Na umownej granicy sowiecko – niemieckiej, na rzece San, wpadli w ręce wartowników niemieckich. Po uformowaniu konwoju, odesłano ich pociągiem do Jarosławia. Jednak i tym razem szczęście dopisało Romanowi, bo gdy pociąg przejeżdżał przez las, wraz z kolegami wyskoczyli i udali się do rodzinnych domów, pieszo i to głównie nocami.

Pan Roman przed wojną uczył się zawodu w szkole krawieckiej w Przeworsku. Dlatego po swym powrocie podjął pracę u Niemca, który otworzył firmę krawiecką w Jarosławiu. W tym czasie każdy dorosły Polak, musiał przepracować na rzecz Rzeszy niemieckiej 1 rok. Roman musiał opuścić krawiectwo, aby podjąć pracę w firmie budowlanej również w Jarosławiu, następnie w fabryce amunicji w stalowej Woli. Mieszkanie było w barakach fabrycznych, jedzenie mało i bardzo złe. Praca była bardzo ciężka i niebezpieczna. Ciągłe zdarzały się wybuchy, które pociągały za sobą ofiary w ludziach.

Dzięki solidnej zapłacie w złocie, złożonej przez rodzinę zaprzyjaźnionemu Niemcowi, Roman został przeniesiony do pracy na tory kolejowe, ale do Prokocima koło Krakowa. Dalej mieszkali w nędznych barakach, z kiepskim wyżywieniem, lecz teraz praca była o wiele bezpieczniejsza i na świeżym powietrzu. Zimą 1940 roku, Roman znowu ucieka z kolei i ukrywa się w domu. Po 2 tygodniach dekowania się, zostaje z powrotem odstawiony do Prokocimia, a następnie z karna grupa odesłany do wapiennika. Tam przykuty do taczki przepracował 4 miesiące, następnie powrócił do poprzedniej pracy na kolei gdzie dokończył przymusowy rok pracy dla okupanta niemieckiego.

W 1943 roku, wstąpił do miejscowej tajnej organizacji BCH – bataliony chłopskie. Tam w konspiracji mieszkali w różnych miejscach a czasem nawet w domu. Broń mieli złożona w jednym zamaskowanym miejscu, skąd wychodzili na pojedyncze wyprawy przeciwko okupantowi a nawet kolaborantom. W lipcu 1944 roku gdy Rosjanie wraz z Wojskiem Polskim znaleźli się na Ziemi Lubelskiej, wstąpił do wojska do oddziału saperskiego. Po kilku miesiącach szkolenia, brali udział podczas forsowania Wisły i zdobywaniu zniszczonej Warszawy dnia 17 stycznia 1945 roku.

Tym razem szczęście opuściło Romana, bo podczas ataku został ranny i musiał pozostać w szpitalu, gdy jego jednostka mostowo – pontonowa wyrusza na zachód. Po 3 tygodniach pobytu w szpitalu, razem z żołnierzami rosyjskimi pojechał do Kołobrzegu, tam został wcielony do innej jednostki z którą dotarł aż na przedmieście Berlina. Po zakończeniu działań wojennych, powrócił do macierzystej jednostki z którą przemieszczał się w ciągu kilku lat po różnych terenach Polski.

Jego jednostka w latach 1945 – 1947 zajmowała się rozminowywaniem pól, ulic i mostów oraz ich naprawą i tak kolejno byli: w Warszawie, Płocku, Pułtusku, Łomży, Suwałkach i Biskupcu. Demobilizacja nastąpiła w maju 1947 roku. Pan Roman służbę wojenną i wojskową, zakończył w stopniu starszego sierżanta. W lipcu 1947 roku, razem z kolegami przyjechał do Kowar, gdzie rozpoczął pracę w firmie krawieckiej, najpierw prywatnej a później państwowej. W Kowarach spotkał również swojego starszego brata, który tu akurat wcześniej przyjechał. Tu Pan Roman poznał swoją pierwszą żonę i tu razem

zamieszkali oraz założyli rodzinę. Razem mieli jednego syna. Po śmierci żony przeniósł się do Mysłakowic, gdzie spotkał kobietę z którą się znowu ożenił. Później przeszedł na emeryturę i czasem opowiada swoje przeżycia wnukom, lub tym którzy chcieli je umieścić w kronice Mysłakowic. Obecnie już nie żyje, pozostało po nim tylko wspomnienie.

Za swoją służbę wojenną i wojskową otrzymał szereg odznaczeń:

1. Medal za Warszawę.
2. Medal za Odrę i Nyse.
3. Medal za Berlin.
4. Medal Wolności.
5. Odznaka Grunwaldzka.

Jako rezerwista otrzymał stopień oficerski podporucznika Wojska Polskiego.

## **10. Antonina Rapior z ulicy Daszyńskiego.**

Pani Antonina urodziła się 8 czerwca 1921 roku w Słupi Kapitulnej. Tam też ukończyła Szkołę Powszechną w 6 oddziałach. Po szkole pracowała w gospodarstwie rodziców liczącym 50 morgów poznańskich. W domu oprócz rodziców było 5 dzieci – córek. Swego męża poznała po sąsiedzku. Pan Roman Rapior urodzony w 1915 roku również kończył tę samą szkołę ale później jeszcze krawiecką.

W 1941 roku cała rodzina została wywieziona do Niemiec, do pracy na roli. Pani Antonina miała wtedy 20 lat. W Lechsten koło Jeny przebywali do 1945 roku. Mieszkali u pana w majątku, w oddzielnym domku. Od rana do nocy praca była podstawą bytu. Antonina pracowała jako pomoc kuchenna, sprzątała pokoje, paliła w piecach. Ojciec pracował na roli przy koniach, mama w polu, dwie starsze siostry również w polu, a młodsze w domu. Te najmłodsze to nawet chodziły do przedszkola.

Nikt z domowników nad nimi się nie znęcał, nie krzyczał i nie bił. Niedziele były wolne. Ponieważ w tej miejscowości był kościół ewangelicki, więc wolno im było chodzić do kościoła katolickiego, tylko jeden raz w miesiącu do Apolda lub Jeny – 6 km. Pani Antonina po powrocie do kraju poślubiła Romana. Ślub odbył się 25 listopada 1945 roku. Wesele było grane i tańczone, a przygrywała wiejska orkiestra. Rodzice i reszta rodziny wrócili w kwietniu 1946 roku. Radość była wielka ponieważ znów cała rodzina zamieszkała w swoim domu. Cała gospodarka była w dobrym stanie, zastali nawet krowy, świnie a nawet psa.

Ponieważ mąż Pani Antoniny już wcześniej pracował we Wrocławiu, wyjechali więc i zamieszkali na Biskupinie. Po przyjeździe mąż przez 3 miesiące pracował w fabryce parasoli. Następnie firma przeniosła go jako krawca do Świebodzic do Zakładu Krawieckiego, który szył na usługi polskiej armii. Po pół roku mąż znowu został przeniesiony do fabryki w Turońsku – Mysłakowicach, na oddział szwalni w zakładach lniarskich.

Przez okres 3 miesięcy mąż był sam, dostał jeden pokój przy ulicy Daszyńskiego 16, a stołował się na stołówce fabrycznej. W zakładzie pracował jako majster szwalni. Jego pokój był umeblowany, bo wyprowadzający się Niemcy zostawili umeblowanie. Pani Antonina w tym czasie była już w ciąży, więc wyjechała do rodziców gdzie urodziła syna dnia 20 sierpnia 1946 roku. W domu rodzinnym przebywała jeszcze przez okres 3 miesięcy, wtedy mąż przyjechał po nią i razem wyjechali do Turońska. Zamieszkali w pokoju męża. Ponieważ jesienią nastąpiło wielkie wysiedlenie Niemców, mogli teraz zająć resztę mieszkania wraz z wyposażeniem.

Razem z Panią Antoniną przyjechała jej siostra Józefa, która później zamieszkała na ulicy Łokietka. Tutaj wnet urodziła się córka Elżbieta – 1949 rok i Urszula w 1952 roku. Gdy syn poszedł do szkoły, a córki do przedszkola, Pani Antonina podjęła prace w żłobku jako salowa, pracownica kuchni następnie jako kierowniczką do 1958 roku. W tym czasie zachorowała na gruźlicę i przebywała w szpitalu w Mysłakowicach, sanatorium w

Sokołowcu. Po powrocie do zdrowia, podjęła pracę chałupniczą w DZPL Orzeł, następnie w 1980 roku przeszła na rentę, a później na emeryturę w 1981 roku. Mąż do samej emerytury czyli do 1979 roku pracował w Orle.

W Mysłakowicach po przyjeździe było bardzo miło i czysto, jednak po osiedleniu się Polaków zaczął się nieporządek, brud i nieład. Ludzie nie poprawiali swoich domów. Ciągłe panowała niepewność i tymczasowość. Dzieci ukończyły szkołę podstawową oraz szkołę średnią, a córka Ela policealna szkołę programowania maszyn cyfrowych. Dzisiaj Pani Antonina mieszka z córką Elżbietą i jest nie tylko babcią ale i prababcią. Czasem wspomina tamte odległe czasy, gdy przebywała w Niemczech lub czasy gdy wszystkie dzieci były jeszcze małe. Pani Antonina zawsze prowadzi śpiew w kaplicy na osiedlu podczas mszy świętych oraz różne modlitwy poprzedzające mszę.

### **11. Maria Sopałowicz z ulicy Włóknarzy.**

Maria urodziła się 14 sierpnia 1927 roku w Witaszycach powiat Jarocin woj. poznańskie. Do Szkoły Powszechnej uczęszczała w Witaszycach. W chwili wybuchu wojny chodziła do klasy 5. Ojciec był naczelnikiem poczty, a mama zajmowała się domem i dziećmi czyli 4 córkami. Teren na którym mieszkali został zaraz wcielony do Niemiec. Cała rodzina została wykwaterowana na plebanię. Ojciec stracił pracę i źródło utrzymania. Wnet ojciec i najstarsza siostra zostali zatrudnieni w majątku hrabiego Banińskiego, obecnie zajętego przez Niemców. Starsze siostry zatrudniono w biurze gospodarczym, była to poradnia zawodowa dla tego majątku.

W 1940 roku, wykwaterowano ich z plebani do Marczewa pod Pleszewem, razem z biurem poradni nawożenia, gdzie zamieszkali w domu dla personelu. Podczas wielkiej zimy w 1942 roku, zabraliśmy do palenia nie swoje drzewo, za co wykwaterowano nas do czworaków. Dalej w majątku pracowano na wyznaczonych stanowiskach. Pod koniec wojny w maju 1944 roku, nasz opiekun, widząc zapewne przyszłą klęskę Niemiec, zabrał nas ze sobą do Karpacza, przenosząc równocześnie całe biuro w góry.

Nasz przełożony miał tu pensjonat – mały domek, a dla nas i innych pracowników, wcześniej wybudowano drewniane baraki. Biuro poradnictwa dalej istniało i prowadziło swoją działalność. Za wykonywaną pracę otrzymywano część wynagrodzenia, które musiało wystarczyć na życie. Dobiega koniec wojny, zaopatrzenie jest coraz gorsze, dobrze że ich szef przed ucieczką zaopatrzył ich w kartki żywnościowe.

W górnej części Ściegien znajdował się obóz belgijski – stalag, obóz wojskowy. Więźniowie na co dzień pracowali u gospodarzy. Mieli jednak swobodę chodzenia po wsi, dlatego mogli się spotykać i z Polakami.

Po wyjeździe w lutym 1945 roku kierownika, wszyscy zostali przydzieleni do Urzędu Gminy w Karpaczu. Nie stawienie się w Urzędzie, zagrożone było utratą kartek żywnościowych. W marcu 1945 roku z Urzędu posłano ich do gospodarza do Ściegien. Tam za wykonaną pracę otrzymywali wypłatę w naturze. Jedzenie było bardzo skromne, nędzne, ale po robocie wszyscy siadali do posiłku przy jednym stole razem z gospodarzem. Trudno dzisiaj powiedzieć, czy on był taki dobry, czy może obawiał się rychłego zakończenia wojny.

Jego dom znajdował się w górnej części wsi. Po przebraniu ziemniaków na sadzenie, skierowano ich do kopania rowów – okopów, po obu stronach szosy w kierunku Kowar, na głębokość około 2 m zygakiem. Dozór nad pracownikami sprawowało hitlerjungen – młode wojsko alpejskie.

Już dnia 1 maja 1945 roku wszyscy byli wolni. Z chwila wkroczenia Rosjan, w każdym domu wywieszono białe flagi, co wyglądało zabawnie i ciekawie. Armia Czerwona na motorach i samochodach, witana była przez byłych robotników i cudzoziemców, którzy

znaleźli się tu z różnych stron Europy. Rosjanie obsadzili wszystkie Urzędy. Polaków awansowano, przenosząc ich do nowych mieszkań gdzie jeszcze byli Niemcy.

Rodzina Pani Marii zamieszkała obok papierni w mieszkaniu po gestapowcu, który równocześnie był kierownikiem tartaku i miał piętrowy dom. Na drzwiach domu powieszono kartkę, że ten dom już jest zajęty przez Polaków, w języku polskim, rosyjskim i niemieckim. Polskie władze zaczęły dbać o zaopatrzenie dla osiedleńców którzy przybywali tu z różnych stron Polski.

Z Karpacza jeszcze jeździły pociągi elektryczne do Jeleniej Góry z obsługą kobiecą, bo mężczyźni zostali zabrani na front. Władze z Jeleniej Góry zwróciły się do ojca, aby zajął się uruchomieniem polskiej poczty w Karpaczu. Tym razem zamieszkali na poczcie. Siostry podjęły pracę w Urzędzie Gminy – miasta, zaś Maria poszła do szkoły do Gimnazjum w Jeleniej Górze, do którego jeździła pociągiem elektrycznym, a po wycięciu linii przez Rosjan pociągiem parowym lub autobusem. Dwie siostry wyszły za żołnierzy WOP, a trzecia wyjechała do Poznania.

Po 3 latach gimnazjum odbyła się matura, dwa lata przez jeden rok. Po 3 latach starań, gdy wreszcie zapisała się do ZMP, w 1950 roku przyjęto ją na studia farmaceutyczne we Wrocławiu. Studia trwały 4 lata i w 1954 roku zakończyły się uzyskaniem tytułu magistra farmacji. Po studiach dostała nakaz pracy w Jeleniej Górze. Pracowała w aptece na ulicy Długiej, a po 2 miesiącach przeniesiono ją do Kowar, był to luty 1955 rok i tu po 2 latach pracy została kierownikiem apteki

Na owe czasy był to wielki awans społeczny. Oczywiście wtedy wszystkie apteki były państwowe. W 1958 roku jej aptekę przeniesiono do góry na osiedle z dużą powierzchnią. Razem z rodzicami zamieszkali w Kowarach. W aptece Pani Maria pracowała do 60 roku życia i wtedy przeszła na emeryturę. Od wielu lat mieszka w Mysłakowicach w pierwszym bloku na ulicy Włókniarzy i cieszy się szacunkiem i wielkim poważaniem wśród sąsiadów, chętnie również pomaga współlokatorom. Chętnie również udzieliła mi wywiadu o swojej rodzinie.

## **12. Zofia Niżnik z ulicy Daszyńskiego 16.**

Pani Zofia urodziła się 31 grudnia 1927 roku we Francji w Krell. Jej mama jako panna wyjechała do Francji za pracą w 1921 roku, tam właśnie zapoznała Polaka za którego wyszła za mąż w 1926 roku. Mama wróciła z dziećmi do ojczyzny w 1931 roku, zaś tato pozostał we Francji do 1938 roku. Mama zamieszkała w rodzinnej miejscowości w Tarnobrzegu. Po wybuchu wojny, tato związany był z wojskiem i należał do ruchu partyzanckiego AK. W nieznanych okolicznościach zginął w 1945 roku. Po zakończeniu wojny, mama z dwoma córkami zamieszkała u swojej siostry.

Wujek Jan Sulik, jesienią 1945 roku przyjechał do Turońska – Mysłakowic i zamieszkał na ulicy Fabrycznej, gdzie jego rodzina mieszka do dzisiaj. Pracę podjął w zakładach lniarskich jako kierownik transportu kolejowego na bocznicy ul. Kamienna.

Wiosną 1946 roku Pani Zofia mając 19 lat, przyjechała z mamą i siostrą Agnieszką do Turońska i zamieszkały w Hotelu Robotniczym – dawny hotel Tyrolski a obecnie Klub Radar, później na ulicy Jejeniogórskiej obok przystanku na górze wraz jeszcze z Niemcami. Cała trójka otrzymała pracę w fabryce lniarskiej. Pani Zofia otrzymała pracę ogrodniczki na zakładowym warzywniku, który mieścił się na terenie fabryki. W czasie zimy gdy na warzywniku nie było pracy, skierowano ją do łaźni, a na wiosnę 1947 roku awansowano na rewidenta na portierni.

Rewident, w odpowiednim ubraniu stał na bramie i kontrolował co ludzie wynoszą z zakładu, zaglądając do każdej torby. W 1948 roku, skierowano ją do zakładowego laboratorium chemicznego, którego kierownikiem był jeszcze Niemiec Nakas, ale

kontrolowany przez Polaka pana Marcza. W 1950 roku Panią Zofię przeniesiono na roszarnię na stanowisko rachmistrza, a następnie w 1957 roku na przedzalnię, również jako rachmistrz. W 1972 roku po odejściu pana Kołba na emeryturę, Panią Zofię przeniesiono do działu finansowego na stanowisko kasjera, gdzie pracowała aż do przejścia na emeryturę czyli do dnia 31 grudnia 1981 roku.

Jako kasjerka zobowiązana była jeździć w każdy dzień do banku w Jeleniej Górze, na różne rozliczenia finansowe. Na dzień zaliczki lub wypłaty, pieniądze czyli banknoty i bilon, przewożone były w specjalnych skórzanych walizkach i workach samochodem do fabryki.

Przyszłego męża Pani Zofia poznała w Mysłakowicach na ogrodzie fabrycznym. Ślub odbył się dnia 22 września 1946 roku w kościele katolickim w Łomnicy, którego udzielił im ksiądz Kotulak. Urodziło im się 3 dzieci w tym jedno zmarło. Z ulicy Jeleniogórskiej przenieśli się na ul. Kamienną, a następnie w 1960 roku na ul. Daszyńskiego 16, gdzie mieszkają do dnia dzisiejszego. Ich dzieci chodziły do szkoły w Mysłakowicach, zaś rodzice pracowali w DZPL Orzeł. Mąż zmarł w 2000 roku. Teraz Pani Zofia jako emerytka mieszka z córką, która bardzo jej pomaga, ponieważ mama ma wielki kłopot w poruszaniu się. Córka Bożena pracuje w miejscowym Klubie Radar i opiekuje się swoją mamą.

### **13. Helena Krzywiec z ulicy Wojska Polskiego.**

Helena Krzywiec urodziła się 12 stycznia 1931 roku w Grodnie. Było to miasto powiatowe w woj. białostockim. Emilia i Stanisława Krzywiec mieli dzieci 3 dzieci. Tato miał własny zakład rzeźniczy na ul. Grochowskiej 9 i tam pracował razem z mamą. Helena najpierw uczęszczała przez okres 2 lat do przedszkola, a następnie po ukończeniu 6 lat, poszła do Publicznej Szkoły Powszechnej stopnia III nr. 10, która mieściła się na ulicy Lipowej. Jej opiekunem klasy była Pani Tygerowa, a szkoła była koedukacyjna.

Po zajęciu tych terenów przez wojska Armii Czerwonej ZSRR dnia 17 września 1939 roku, ziemie te zostały wcielone do Rosji Radzieckiej. Późną jesienią tego roku, cała trójka dzieci została zmuszona do przejścia do szkoły rosyjskiej. Pani Helena chodziła tam do klasy II i III, gdzie językiem wykładowym był język rosyjski.

W mieście było sporo sklepów w większości żydowskich, kościoły: katolicki, ewangelicki, prawosławny i żydowski. Krzywcowie jako katolicy należeli do parafii Franciszkanów. Po wkroczeniu Rosjan kościoły zamknięto a księży wywieziono. Gdy w czerwcu 1941 roku weszli Niemcy, ludność polska cieszyła się z przepędzenia poprzedniego strasznego okupanta. Szkoły zamknięto, z wyjątkiem dla ludności sprzyjającej Niemcom.

Podczas wojny mama pracowała w szpitalu wojskowym i w majątku Augustówek gdzie uprawiano tytoń. Dzieci do lat 12 pracowały w fabryce po 4 godziny dziennie. Tato był chory. W tym czasie część miasta ogrodzono aby utworzyć tam getto dla ludności żydowskiej. Pod koniec wojny getto zlikwidowano, a ludność wywieziono do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Część Żydów przechowali Polacy w swoich schowkach domowych. Po ponownym wkroczeniu Rosjan w 1944 roku, z utęsknieniem czekali na Polaków którzy szli z Armią Czerwoną.

Otwarto polskie szkoły z polskimi nauczycielami, którzy cudem uniknęli wywózki w głąb Rosji lub do Niemiec. Pani Helena poszła do klasy V, a następnie VI i VII. Szkoła mieściła się na ulicy Witolda. Jej braci chodzili do innej szkoły. Tato dalej choruje i nie może podjąć pracy. Mama zajmowała się handlem pokątnym, czasem pracowała w piekarni i aby utrzymać rodzinę często sprzedawała domowe pamiątki. Białorusini byli negatywnie ustosunkowani do ludności polskiej. Tato zmarł w 1945 roku i został pochowany w Grodnie. Rusyfikacja postępowała bardzo szybko, zamykano polskie szkoły, do mieszkań dokwaterowywano rosyjskie rodziny.

Na wiosnę 1946 roku stało się już jasne, że kto chce mieszkać w Polsce to musi opuścić rodzinne strony i wyemigrować w nieznaną, może na Ziemię Odzyskaną. Dnia 9 marca 1946 roku spakowali pościel, naczynia i inny dobytek i udali się na dworzec kolejowy w Grodnie. Na dworcu zebrała się duża grupa Polaków, która chciała jechać do Poznania, Gdańska itp. Niestety, dnia 27 marca znaleźli się na dworcu kolejowym ale w Jeleniej Górze. Było ciepło, miło, świeciło słońce, a transport stał na peronie do Karpacza. Czas oczekiwania na określone skierowanie wyniósł tylko półtora tygodnia. W tym czasie oglądano nowe miejsce postoju, rozmawiano i dyskutowano, kiedy wreszcie pojedą do wyśnionego Poznania.

Zaprowiantowaniem całej grupy przyjezdnych zajmował się PUR, chwilowo zamieszkali w barakach koło zakładu optycznego w których przebywali robotnicy przymusowi oraz jeńcy wojenni, którzy podczas wojny pracowali w zakładach optycznych. Tu nawiązano pierwsze kontakty i znajomości. Wreszcie po 2 miesiącach tj. dnia 11 maja 1946 roku Pani Helena wyruszyła do Turońska – Mysłakowic, o którym już słyszała od pracujących tam koleżanek.

Pan Prado w Zakładach Lniarskich w Turońsku, skierował ją na ulicę Wojska Polskiego 12. Tam jeden pokój zajmowali Niemcy, a drugi zajęła sama z dostępem do kuchni dla wszystkich. Po około 3 tygodniach, gdy już Niemcy wyjechali, pozostała rodzina mogła się sprowadzić. Pani Helena w Zakładach Lniarskich pracowała dziennie 4 godziny, a pozostały czas przeznaczony był na szkołę zakładową, która mieściła się tam gdzie obecnie jest sklep włókienniczy. Po kilku dniach dołączył brat i też zatrudnił się w fabryce.

W czerwcu nastąpił zmasowany wyjazd Niemców, ale niczym opuścili swoje domy, sporo rzeczy już sprzedali, bo nie mogli ze sobą zabrać. To co im zostało, załadowali na mały wózek gospodarczy i tak wyruszyli na punkt zborny do Jeleniej Góry.

W opuszczonym domu zamieszkali: Zamora 3 osoby, Kowalik, Gąsiorowski, Krzywiec, Walczak, Nocoń, Rosikoń. Mama podjęła pracę w Orle, gdzie jeździła windą. Pani Helena cały czas pracowała w Zakładach Lniarskich na dwóch oddziałach. Nowo przyjezdni dostali paczki z UNRY i zakładu. Jedzenie rozdawano w stołówce fabrycznej za odpowiednią opłatą. Brat poszedł do wojska, a następnie wyjechał z Mysłakowic.

Pani Helena do chwili przejścia na emeryturę pracowała w DZPL Orzeł. Dalej mieszka w przydzielonym jej w 1946 roku mieszkaniu. Mieszkanie jest widne, słoneczne, suche, zadbane i posiada bardzo proste wyposażenie. Niestety Pani Hele nie odważyła się pojechać do Grodna, tam gdzie został jej rodzinny dom, a może to wciąż to żywa rana. Dalej mieszka sama bo nie związała się bliżej z nikim. Ja jako ten który z nią przeprowadziłem ten wywiad, również w tym domu mieszkałem ze swoją rodziną przez 8 lat.

#### **14. Luiza Fichtner – Klimas z ulicy Daszyńskiego.**

Luiza urodziła się dnia 21 listopada 1926 roku w Kowarach – Schmiedeberg na ul. Oberstrasse 9, koło kaplicy Św. Anny. Rodzice mieli dwoje dzieci. Ojciec pracował w kopalni i zmarł w 1945 roku, a mama rok później tj. 1946 roku. W 1933 roku przeprowadzili się do Erdmannsdorf – Mysłakowic na ul. Łomnicką 8.

Ojciec podjął pracę w Zakładach Lniarskich na wydziale tkalni. Dzieci zapisano do katolickiej szkoły w Łomnicy. W Mysłakowice szkoły i kościół były ewangelickie. W 1935 roku Luiza jako 9 letnie dziecko, przystąpiła do I Komunii Świętej w Łomnicy. Do szkoły w Łomnicy chodziła do klasy VI. Ostatnie 2 lata chodziła do szkoły żeńskiej w Mysłakowicach na ul. Szkolnej. Była to szkoła przygotowująca dziewczęta do bycia gospodynią. Naukę zakończyła w 1941 roku mając 15 lat.

Po zakończeniu nauki szkolnej, jako dorastająca dziewczyna została skierowana do gospodarstwa rolnego w Jeżowie za Jelenią Górą, gdzie miała odbyć praktykę rolniczą. W wielohektarowym gospodarstwie pracowali: dwaj Rosjanie, Ślązaczka, jeden Francuz i Luiza



jako pomoc kuchenna, opiekunka dzieci, a czasem pracownica w polu. Tam zamieszkała w dwuosobowym pokoju z koleżanką ze Śląska. Wszystkich robotników traktowano jednakowo i poprawnie ale bez zapłaty, tylko za wyżywienie. Po powrocie do domu przez kilka miesięcy pracowała u rzeźnika koło pałacu w Mysłakowicach, oczywiście tu też bez zapłaty tylko znowu za wyżywienie.

Na terenie Zakładów Lniarskich w 1943 roku uruchomiono produkcję do części samolotów. W fabryce pracowało wtedy dużo jeńców wojennych i robotników przymusowych, którzy mieszkali na terenie zakładu w barakach do 1945 roku. Po zakończeniu wojny, odbył się wielki szaber ze sklepów przez Rosjan, zabierano co się tylko dało a resztę niszczone.

Pod koniec wojny tj. jesienią 1944 roku, właścicielka domu z pochodzenia Czeszka z ul. Łomnickiej wymówiła im mieszkanie. Urząd Gminy przydzielił im jeden pokój na parterze na ul. Szkolnej w domu tyrolskim obok szkoły i Wojska Polskiego. Mama podjęła się pracy u gospodarza na ul. Łokietka, gdzie również pracowała Polka, jako robotnik przymusowy. Po zakończeniu wojny, Polka pozostała na gospodarstwie i mama teraz pracowała u niej.

Po zakończeniu wojny mama ciężko zachorowała i została umieszczona w szpitalu w Kowarach, jednak po kilku dniach u niej stwierdzono bardzo ciężki stan i oddano ją do domu. Matka została pochowana na rodzinnym cmentarzu w Kowarach. Również i Luiza ciężko zachorowała na zapalenie płuc. W płucach u niej pojawiła się woda, jej stan był bardzo poważny. Chorą dziewczyną opiekowała się siostra zakonna z przedszkola, która jej przynosiła jedzenie i lekarstwa. Jesienią 1946 roku, Komisja Mieszkaniowa z Turońska – Mysłakowic, wysiedliła chorą Luizę z przydzielonego jej pokoju.

W mieszkaniu zostały meble, ubiory, naczynia, dokumenty, pamiątki, a chora i zrozpaczona, nikomu nie potrzebna, młoda dziewczyna Niemka, wyszła w takim ubraniu w jakim leżała i poszła położyć się do sadu za domem aby tam dokonać swego żywota. Dom został zamknięty i zabezpieczony a klucze zabrane. Mieszkający tam niemieccy sąsiedzi, powiadomili rodzinę w Kowarach, aby zabrali i zaopiekowali się chorą krewniaczką.

Chorą i wyziębioną Luizę zabrano do szpitala w Kowarach, gdzie przeleżała kilka tygodni. Po wyjściu ze szpitala zabrano ją do wujka, który postanowił pozostać w Kowarach z całą swoją rodziną na ul. Wiejskiej koło fabryki filców. Wujek był malarzem pokojowym, a Luiza i córka wujka robiły na drutach swetry i sprzedawały Polakom, aby w ten sposób zarobić na życie.

Jej przyszły mąż, przyjechał z Górnego Śląska jako muzyk do restauracji w Kowarach. Z zawodu był blacharzem, więc zatrudnił się w kopalni uranu i tam dostał mieszkanie. Gdy dyrekcja zakładu dowiedziała się że on spotyka się z dziewczyną Niemką, zaraz został z pracy zwolniony. W 1947 roku jako muzyk, przyjął się do pracy w gospodzie w Mysłakowicach na rogu Godebskiego i Daszyńskiego i zaraz otrzymał pokój na piętrze. Gdy w Zakładach Lniarskich dowiedzieli się że przyszły mąż jest muzykiem, zaraz został przyjęty do fabryki, bo tam potrzebowali go do orkiestry dętej. W zakładzie lniarskim został blacharzem i jako bardzo potrzebny pracownik dostał mieszkanie – jeden pokój na ulicy Daszyńskiego 16. Teraz mogli razem zamieszkać, bo posiadali już swoje mieszkanie.

W 1955 roku mąż dostał przydział na całe mieszkanie. Teraz można już było kupić meble bo pojawiły się dzieci, dwie córki. Ślub cywilny zawarli w maju 1956 roku w Mysłakowicach, a udzieliła go Pani Kujawińska. Gdy dzieci trochę podrosły, Pani Luiza poszła również do pracy do DZPL Orzeł na dział przewijalni, gdzie przepracowała 20 lat. Mając 55 lat przeszła na emeryturę.

Obie córki ukończyły szkołę w Mysłakowicach, a następnie szkołę średnią w Jeleniej Górze. Pani Luiza doczekała się 4 wnuków i jednego prawnuka. Dalej mieszka w

przydzielonym im mieszkaniu i jest bardzo szanowaną sąsiadką, bo zna język niemiecki i niekiedy pomaga sąsiadom w odczytaniu dokumentów niemieckich.

Ja osobiście poznałem Panią Luiżę gdy przychodziła do szkoły na wywiadówki. Jej starsza córka była w klasie której właśnie byłem wychowawcą przez 4 lata i nauczycielem fizyki przez 3 lata. Po każdej wywiadówce pozostawała i prosiła abym jeszcze raz powiedział ale powoli wszystkie uwagi o jej córce. Wtedy właśnie dowiedziałem się że jest z pochodzenia Niemką, która po wojnie zdecydowała się pozostać w Polsce, mimo że wszyscy jej znajomi i sąsiedzi wyjechali do Niemiec. Kilka razy pomogła mi w rozszyfrowaniu co i gdzie się mieściło przed wybuchem wojny w Mysłakowicach. Od niej nabyłem ciekawą mapę niemiecką która przedstawia miejscowości pomiędzy Cieplicami a Mysłakowicami. W jej domu mąż zgromadził dużo pamiątek z dziedziny muzyki. Pan Klimas ze swoimi kolegami z orkiestry, często grał na zabawach choinkowych organizowanych w szkole w latach 50 i 60 tych. Pani Luiza mieszka teraz sama gdyż została wdową. Nie ma urazy do Polaków którzy tak okropnie wtedy ją potraktowali jesienią 1946 roku

### **15. Jadwiga Biłek z osiedla Czerwony Dworek.**

Rodzice Pani Jadwigi pochodzili ze Lwowa i z rzeszowskiego. Związek małżeński zawarli w 1930 roku we Lwowie. Pierwsze dziecko urodziło się w 1932 roku, drugie czyli Jadwiga w 1936, a następne podczas wojny w 1943 roku. W sierpniu 1939 roku, rodzice spłacili ostatnie raty zaciągnięte na budowę domu, zaś we wrześniu wybuchła wojna. Ciągłe i nasilające się naloty spowodowały u Jadwigi silną nerwicę i rodzice postanowili że mama z dziećmi pojedzie do rodziny ojca koło Rzeszowa. W marcu 1944 roku zamieszkali u stryja w Chmielniku. Ojciec powrócił do Lwowa i przebywał tam tak długo aż do momentu zamknięcia granicy. Wtedy pozostawił dom i wszystko co posiadał i wiosną 1945 roku wszyscy przenieśli się do Rzeszowa a w lipcu do Bytomia.

Warunki na otrzymaniu pracy a tym samym na utrzymanie 5 osobowej rodziny były bardzo trudne. Ojciec przypadkowo spotkał swego znajomego ze Lwowa, który już osiedlił się w okolicy Jeleniej Góry tj. w Turońsku. Namówił więc ojca aby z nim pojechał i sam zobaczył jakie są możliwości osiedlenia się. Na miejscu otrzymał propozycję osiedlenia się w takim domu w którym osiedliło się wcześniej dwóch Polaków, czyli on został 3 osadnikiem. Dom stał przy ul. Czerwony Dworek 3.

Dnia 8 grudnia 1945 roku wszyscy wyjechali z Bytomia do Jeleniej Góry, drogą okrężną, ponieważ mosty były zniszczone. Przez Kamienną Górę i Kowary dotarli do Turońska – Mysłakowic. Była już noc a do tego mroźna zima. Mama była przerażona jaką daleką drogę musi pokonać z dworca przez skrzypiący most na Łomnicy, a potem przez puste pola na Czerwony Dworek 3. Drogę wyznaczały tylko słupy elektryczne. Brnąc przez zasypany śniegu wreszcie dotarli do domu. Tu zostali przyjęci przez dawnych mieszkańców – Niemców, którzy wprowadzili ich do prawie pustego domu.

Pierwszą reakcją którą Pani Jadwiga do dziś pamięta był głos brata „mamo ja cię do domu”. Ojciec znał na tyle język niemiecki że mógł się porozumieć. Po dwóch dniach wyjechał ponownie do Bytomia, bo zmuszony został do zlikwidowania mieszkania i przywiezienia pozostałych rzeczy. Teraz zostali sami w obcym domu.

Po kilku dniach przyszedł do nich jakiś Polak z zapytaniem, skąd mamy drewno które jest poukładane pod domem. Mama skierowała go do Niemca, ponieważ sama nic na ten temat nie wiedziała. Po rozmowie Polak wpadł w wielką złość i wtedy powiedział że zastrzeli Niemca. Ten stary gospodarz biegał wkoło swego domu, a za nim przybysz. Jednak broń się zacięła i nie wystrzeliła. Po jego wejściu do pokoju, zobaczył siedzącego na podłodze pod stołem brata, wtedy roześmiał się i powiedział: „Ty Polak siedzisz pod stołem”.

Mama bardzo nakrzyczyła na tego Polaka, za jego złe zachowanie i kazała mu wyjść. Jeżeli masz jakieś sprawy do Niemca, to wezwij go do Urzędu i tam je załatw. Rodzina Pani Jadwigi zamieszkała w dwóch pokojach na parterze, a Niemcy na piętrze. Gospodarzy Niemców było czworo: pan Exner, jego gosposia i dwoje 14 letnich wnuków Erika i Werner. Wnuki mieszkały u dziadka, ponieważ ich ojciec poległ na froncie, a matka mieszkała w innej miejscowości i bała się o nich aby Rosjanie nie zrobili im krzywdy. A tu z dala od frontu byli bardziej bezpieczni niż w mieście.

Od dnia 7 stycznia 1946 roku Jadwiga poszła do szkoły podstawowej do klasy III. Nauka odbywała się w klasach łączonych np. III z IV, ponieważ i dzieci i pomieszczeń było mało. Budynek szkolny mieścił się w dawnej szkole niemieckiej w parku obok kościoła. Nauczycielami byli kierownik szkoły Morawa i jego żona oraz Plutecka, Strąkowska i Rukasz. W pracy szkoły szczególnie udzielał się ojciec. Sami organizowali zabawy taneczne dla ludności, loterie fantowe, a uzyskane w ten sposób pieniądze, przeznaczali na pomoce naukowe i książki do biblioteki. W szkole brakowało wszystkiego co było potrzebne do prowadzenia zajęć. Pani Strąkowska równocześnie zajmowała się śpiewem i tańcem.

Pani Jadwiga wraz z innymi dziećmi występowała w sali kina w Turońsku. W przeddzień Wielkanocnych w marcu 1946 roku z ich domu skradziono 2 krowy które należały do gospodarza Niemca. Teraz zaczęła im dokuczać bieda, bo oprócz ich do wyżywienia było 4 Niemców a w piwnicy było tylko trochę ziemniaków.

Ojciec jeździł po okolicy i szukał jakiejś pomocy. Trochę żywności dostali od znajomego ojca, który miał duże gospodarstwo rolne – wielohektarowe, gdzie były krowy, konie i inne zwierzęta gospodarskie. Wiosna młodzi Niemcy zaczęli znikać na noc, aż pewnego dnia wcale nie powrócili do domu. W maju 1946 roku pan Exner załadował na mały wózek jakieś tobołki i odszedł tylko po drodze jeszcze raz się odwrócił na swój pozostawiony dom z całym dobytkiem i więcej się już nie pokazał.

Minęło ponad 40 lat, jak pewnego dnia podjechał samochód i wysiadło z niego 4 ludzi. W pobliżu był mąż Pani Jadwigi który znał język niemiecki i po krótkiej rozmowie zaprosił ich do domu. Jak się okazało była to wnuczka pana Exnera z mężem i znajomym. Po pewnym okresie czasu, Pani Jadwiga została z mężem zaproszona do Niemiec, gdzie również serdecznie ich przyjęto. Dobrze się stało że teraz dawni mieszkańcy mogą bez kłopotu odwiedzać swoje domy.

Od chwili przybycia do tego domu i do tej miejscowości, minęło już ponad 60 lat. Przy ul. Czerwony Dworek w 1946 roku mieszkało 51 Polaków, a dzisiaj z nich żyje zaledwie tylko 5 osób. Czuli Pani Jadwiga, brat, dwie córki, Przyszlak i Czyc. Pod nr 2 znajduje się duży piętrowy dom ze strychem, trzeci dom zbudowany jest z modrzewia jeszcze w XIX wieku są to piękne i wspaniałe budynki.

W czasie II wojny światowej, były tu przechowywane różne drogocenne przedmioty nawet z muzeum. Po wyzwoleniu Rosjanie wywieźli wiele ciężarówek różnych rzeczy nie ruszając mebli i urządzeń. Do dziś Pani Jadwiga jak w latach 50 przychodził pod ich dom jakiś pan i ciągle coś oglądał. Ojciec mówił im że był to dawny strażnik tego terenu. Przed samym końcem wojny w kierunku Głębocka przejechał transport samochodów ciężarowych. Ale nikt nie wie gdzie się zatrzymał. Jest podobno sporo miejsc które świadczą o zmianie tego terenu i zapewne sztucznie je zalesiono.

Po tylu latach czas i przyroda zrobiły swoje, jeżeli ktoś tego dawniej nie widział, to i dzisiaj nie rozpozna. Nie ma tu już pól uprawnych, a nawet łąk, została tylko dzika przyroda która zakrywa dawny trud człowieka. Żal jest ze po ludziach, którzy przez wiele lat swego życia, tak Niemcy jak i Polacy, wylali tyle potu, zniszczyli swoje zdrowie, ale uprawiali te pagórki, a teraz pozostał tylko ugór. Pozostały tylko krzaki i zarośnięty pokrzywami teren. Na tym terenie uprawiano każdy kawałek ziemi, wiosna pola wyglądały jak wielki niebieski dywan, to kwitł len.

Dziś już nikt nie słucha że tu rosło zboże, gdzie były ziemniaki len i warzywa. Obecnie panuje wszechobecna trawa, chwasty i samosiejki lasu. Czy to się kiedyś jeszcze zmieni? Czy teren ten zostanie zabudowany nowymi willami? Jeżeli tak to bardzo dobrze, bo tu daleko do drogi, cicho i spokojnie oraz wspaniałe widoki na Rudawy i Karkonosze no i wspaniała panorama Mysłakowic.

## **16. Zofia Kupczyk z ulicy Szkolnej.**

Dzieciństwo spędziła w Sosnowcu, gdzie mieszkała z rodzicami i z rodzeństwem. Ojciec pracował w Kopalni „Kazimierz – Juliusz”. Gdy wybuchła wojna Zofia miała 14 lat. Jesienią 1940 roku z Arbeitsamtu dostała skierowanie do wyjazdu do pracy przymusowej w głąb Rzeszy. Wraz z nią pojechało z tej okolicy 16 dziewcząt. Do Erdmannsdorf – Zillertal – Mysłakowic przyjechały 11 listopada 1940 roku.

Była to pierwsza grupa cudzoziemców, która tu została skierowana do pracy w fabryce lniarskiej. Najpierw ulokowano ich w hotelu robotniczym dla dziewcząt, który mieścił się w pobliżu fabryki – dzisiejszy klub Radar. Ponieważ ciągle przybywały następne transporty z głębi Polski, a szczególnie z Łodzi, a także z terenów ZSRR – w szybkim tempie wybudowano na terenie fabryki baraki gdzie wszyscy zostali umieszczeni.

W jednym pomieszczeniu zwanym sztabą, mieszkało od 16 do 20 kobiet. Warunki sanitarne były znośne. Pracowały w fabryce od godziny 6 rano do 6 wieczorem, z przerwą 15 minut na śniadanie i 45 minut na obiad. Stołówkę prowadzili Niemcy i oni zapewniali im wyżywienie, które znacznie pogorszyło się od 1942 roku. W sobotę pracowały tylko do godziny 12. Niedziela była wolna do własnej dyspozycji.

W czasie wolnym od pracy czyli po godzinie 20, pracownice mogły poruszać się po terenie Mysłakowic, a nawet pójść do lasu na spacer. Niekiedy udało się nawet potajemnie wyjechać do Jeleniej Góry, gdzie było znaczne skupisko Polaków. Tam to właśnie uzyskały informacje o wydarzeniach na froncie wojny, bo w pracy i w barakach nie wolno było na ten temat rozmawiać.

Czasem z zachowania Niemców można było wywnioskować, że dzieje się coś nie po ich myśli. Dało się odczuć że jest to wojna, bo obowiązywała surowa dyscyplina, ciężka praca, ograniczona swoboda, brak kontaktu ze światem. Jednak bezpośrednich działań wojennych na tym terenie nie było.

Niemcy odnosili się do nich nieufnie, jednak po pewnym czasie kobiety, które stanowiły większość załogi, zaczęły okazywać im współczucie. Czasem wysyłano ich do innych prac. W 1944 roku, przez 3 miesiące zabrano ich do kopania rowów – okopów w Głogowie oraz przez 2 miesiące do czyszczenia części samolotów na lotnisku koło Żagania. Oprócz Polek w obozie były Rosjanki, Ukrainki i Żydówki. Te ostatnie były szczególnie okrutnie traktowane. Było ich sporo i pochodziły z Rumunii, Polski i Węgier. Ich barak pomimo że stał na terenie fabryki, został otoczony kolczastym drutem. W czasie wolnym mogły poruszać się tylko po placu przed barakiem. Nie wolno było z nimi rozmawiać, ani udzielać żadnej pomocy. Chodziły nędznie ubrane, najczęściej sukienki miały szyte z worków. W lutym 1945 roku, a zima wówczas była bardzo sroga, wyprowadzono je z terenu fabryki w samych sukienkach i skierowano ich w stronę Śnieżki. Co się z nimi stało nie wiadomo.

Gdy zakończyła się wojna, pani Zofia powróciła do rodzinnego domu do Sosnowca. Nie dane jej było długo cieszyć się rodzicami i ich miłością. Ojciec zginął nagle w wypadku w kopalni. Po tej wielkiej traumie nie mogąc sobie znaleźć swego miejsca powróciła do Mysłakowic, gdzie pracowały jeszcze jej koleżanki.

Znowu rozpoczęła pracę w Zakładach Lniarskich, ale tym razem nie jako niewolnik, ale z własnej woli. Już w następnym roku wyszła za mąż. Tu urodziła 4 dzieci i tak już zapewne na zawsze swoje losy związała z Mysłakowicami. Po kilkuletnim pobycie na emeryturze

zmarła, kilka lat po niej zmarł jej syn. Mąż przeprowadził się do dzieci, a mieszkanie stoi na razie puste i czeka na zasiedlenie rodziny.

### **17. Józefa Piendel z ulicy Starowiejskiej.**

Józefa Piendel z domu Madera (teściowa Pana Henryka Judki) przed II wojna światowa mieszkała z rodziną na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Dnia 17 września 1939 roku, tereny te zostały zajęte przez Armię Czerwoną i wcielone do ZSRR. W zimie 1940 roku z całą rodziną i pozostałymi Polakami ze wsi zostali deportowani – wywiezieni transportem kolejowym w bydłych wagonach na wschodnie tereny Związku Radzieckiego.

Do Kazachstanu dotarli po kilku tygodniach. Zamieszkali w Dżambul obwodzie Kurdajskim w rejonie Szartiuba w Kazachskiej Socjalistycznej Republice Sowieckiej. Tam zmuszeni zostali do osiedlenia i poddaniu się ciężkiej pracy w surowym klimacie dalekiego wschodu. Po 6 latach pobytu w ciężkich syberyjskich warunkach i katorżniczej pracy, na mocy umowy polsko – radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 roku otrzymali pozwolenie do swojej ukochanej ojczyzny.

Nie był to jednak powrót w rodzinne strony lecz na ziemie zachodnie w teren Karkonoszy do Mysłakowic, czyli jakby drugie wysiedlenie. Z Dżambul wyjechali 1 kwietnia 1946 roku. Matka Aniela Madera z dziećmi, ojciec wstąpił do armii polskiej. Matka wiozła ze sobą dwie córki Józefę i Walerię oraz 3 synów Stanisława, Adolfa i Zdzisława który urodził się na Syberii.

W Mysłakowicach Pani Józefa osiadła na stałe, została mężatka i matką jedynej córki i zamieszkała na ulicy Starowiejskiej nad rzeką Łomnicą. Obecny dom jest po generalnym remoncie i dobudowie piętra. Pani Józefa mieszka wraz s córka i zięciem Henrykiem oraz dwoma wnuczkami. Mąż już dawno odszedł na wieczny spoczynek, ona zaś ciągle ma w pamięci tamte lata spędzone na dalekiej Syberii oraz te straszne warunki w jakich przyszło im żyć. Zwierza się bardzo niechętnie, jest zamknięta w sobie i ciągle przestraszona, boi się wspominać tamte bardzo trudne dzieciństwo. Podczas rozmowy ciągle płakała, wracając do tych dawnych wspomnień. Jedną z pamiątek z tamtych lat jest zdjęcie, na którym są znajomi Kazachowie i ona z matką.

### **18. Władysław Kocuba z Bukowca.**

Władysław Kocuba ur. 26 marca 1937 roku we wsi Łachewka pow. Łuniniec woj. Mińsk na Białorusi syn Bazylego i Marii. Z wczesnego dzieciństwa pamięta niewiele chyba to co pozostało z opowieści taty. Mieli oni duże gospodarstwo rolne we wsi Łachewka koło Łunińca na terenie obecnej Białorusi. Rodzice posiadali 12 ha ziemi uprawnej i 15 ha lasu. Po zakończeniu I wojny światowej ojciec otrzymał 30 ha lasu za służbę w wojsku. Potem częściowo go wykarczował aby można było zasiać zboże. Żyli w dostatku i szczęściu.

Po wybuchu II wojny światowej i wkroczeniu Rosjan, dnia 10 lutego 1940 roku gdy Władysław miał 3 lata, do domu weszli sowieccy żołnierze, kazali się spakować i wyjść na zewnątrz. Czasu było niewiele, więc zabrano tylko te rzeczy które były pod ręką, ciepłe ubrania i trochę jedzenia na drogę. Tato chciał zabrać złoty zegarek po dziadku, ale wojskowy rzucił nim o podłogę i zegarek rozpadł się na kawałki. Wyszli z ciepłego domu. Na zewnątrz panował siarczasty mróz. Żołnierze kazali wsiąść wszystkim do podstawionych sań.

Tak dojechali do dworca kolejowego na którym z innymi czekali dwa tygodnie. Następnie umieszczono wszystkich w nie ogrzewanych bydłych wagonach. Siedzieli w ogromnym ścisisku bo w wagonie mieściło się kilkadziesiąt innych ludzi. Wszyscy na razie radzili sobie bo mieli ze sobą zapasy jedzenia, które szybko się wyczerpało. Kiedy pociąg ruszył był zakaz z niego wychodzić. Tak jechali kilka tygodni, bo przecież kresem ich

podróży była Syberia. I tak dotarli do Turkmeni. Wszystkich z wagonu umieszczono w kolchozie, który położony był wśród rosyjskiej tajgi. Zamiast domów stały tam długie baraki, w których spali. Oni w jednym pokoju mieszkali z inną rodziną. Żyli więc w ogromnym ścisku, ale aby przetrwać należało się dostosować do istniejących warunków. W Rosji nikt nikogo o nic nie pytał, każdy wykonywał czynności wskazane przez radziecką władzę. Problemem było nawet zadbanie o osobistą higienę, bo przecież nikt nie posiadał mydła ani proszku do prania, zaś o ciepłej wodzie nikt nie marzył.

Wspomnieniem z tego czasu jest pogrzeb mamy, ale mały chłopiec nie zdawał sobie z tego jeszcze sprawy. Zapamiętał konia, trumnę i wiele ludzi którzy kręcili się wokół niej. Sens tego zjawiska mały chłopiec zrozumiał dopiero po latach. Musiał do tego dorosnąć co tak naprawdę stracił.

Zaraz potem ojca zabrano do wyrębu lasu. Musiał wyrobić normę aby otrzymać wynagrodzenie w postaci chleba. Robotnikowi przysługiwało 300 g, dziecku 100 g. Jako dziecko musiał cieszyć się z tego co dostał. Na Syberii wyżywienie stanowiło podstawowy problem egzystencji, bo zawsze go brakowało. Na ogół prawie wszyscy chodzili głodni, jedynie latem mogli dożywić się leśnymi owocami, bo rosły tam jagody, jeżyny a nawet porzeczki. Po pewnym czasie zmienili miejsce postoju bo władze sowieckie przewiozły ich do innej miejscowości.

To miejsce chłopiec zapamiętał dokładnie, a zwłaszcza sterty przerośniętego zboża leżącego na ziemi. Nikt go nie zebrał, mimo że była już jesień i zaczął padać śnieg. Ludziom zabroniono do niego podchodzić w obawie że je ukradną. Ponieważ nie mieli gdzie mieszkać więc wykopali w polu ziemiankę, a dach zrobili z patyków i liści. Dopiero po paru tygodniach przeniesiono ich do baraku, jednak i tam nie zdążyli się zorganizować bo wnet znowu wywieziono ich do Uzbekistanu razem z innymi rodzinami.

Tam zamieszkali w małym domku – lepiance. Początkowo nie było wcale co jeść, więc ludzie zabijali psy i koty i tak się żywili. Z czasem jednak uśmiechnęło się do nich szczęście. Hodowano tam świnię, dzięki czemu mogli wreszcie najeść się do syta. Początkowo nikt nie chciał ich spożywać, bo Uzbegy jako mułzumanie takiego mięsa nie jedzą tylko baraninę. Na początku prosięta karmiono dobrze, ale po pewnym czasie zabrakło żywności i tak zwierzęta zaczęły zdychać. Wtedy przychodziła komisja i kazała je zakopać. Kiedy oni odjechali Polacy odkopywali świńskie mięso. Nikt wtedy nie chodził głodny.

Po jakimś czasie, zaczęto nawet dusić żywy inwentarz, w ten sposób zjedzono stado świń niektóre nawet bardzo dużych rozmiarów. Czasem łapano zwierzęta podobne do jeży, ale dużo większe i z dużymi kolcami. Mięso zjadano a z kolców robiono pióra do pisania. Poza tym w Uzbekistanie siano kukurydzę, tam klimat sprzyjał uprawie takich roślin.

Pewnego razu razem ze starszym bratem poszli w pole i zerwali kolchozową kukurydzę, aby w ten sposób zdobyć trochę jedzenia. Niestety fakt ten zauważył brygadzysta. Wcześniej dojrzała go nasza sąsiadka Wisniewska, wtedy zaczęła ich wołać, ale my myśleliśmy że woła swoje dzieci. Rosjanin złapał ich i zaprowadził do Urzędu, na szczęście komendant był dobrym człowiekiem. Kiedy ich zobaczył w podartych spodniach i cienkich koszulach, mocno zrugął brygadzystę i kazał mu odprowadzić dzieci do domu. Niestety ukarany został najstarszy brat który opiekował się młodszymi czyli odpowiadał za nich. Urzędnik stwierdził że to właśnie on jest temu winien bo ich tam wysłał. Za to skazano go na 2 tygodnie aresztu.

Niestety po pewnym czasie pobytu w Uzbekistanie, znowu warunki bytowe się pogorszyły. Tato i brat stracili pracę, więc pozostali też nie mieli co jeść. Przez 3 dni pili tylko wodę ze solą. Wtedy ojciec dowiedział się że w drugim kolchozie jest lepsze wyżywienie, gdzie dają nawet zupę dla swoich pracowników. Postanowili więc tam uciec. Wzięli parę rzeczy na wózek i ruszyli w drogę. Ale brak żywności dał zaraz o sobie znać na drodze, ledwo trzymali się na nogach, ale kurczowo trzymali się wózka. Jedynie tato szedł o własnych siłach.

Gdy dotarli na miejsce, tato zatrudnił się przy wyrębie lasu. Rzeczywiście dawano tu więcej jedzenia. Niestety po dwóch dniach po nich przyjechali żołnierze i z powrotem musieli wrócić do poprzedniego kołchozu. Wnet ojca zabrano do więzienia, a dzieci wraz z drugą rodziną wywieziono do innej miejscowości.

Zanim jednak do niej dotarli, 3 miesiące spędzili w wagonach. Wówczas panowały ogromne upały, a oni jechali przez cały czas w różne strony. Mimo że w pociągu było duszno i ciasno z niego mogli wychodzić tylko na chwilę i to nie na wszystkich stacjach. Na szczęście dostawali jedzenie: suchy chleb lub suchary i kaszę którą gotowano w wagonie.

Wreszcie dotarli do miasteczka Jegorowsk. Na tym terenie znajdowało się wiele domów mieszkalnych, fabryki i spory bazar. Było tam kino a nawet i teatr. Wtedy czuli się już lepiej nie tak jak w kołchozie. Zamieszkali w lepiance czyli kuchnia i jeden pokój. Ściany były gliniane, a na ziemi klepisko zamiast podłogi, dach z trzciny pokrywał tylko połowę tej budowli, dlatego mokli w czasie deszczu. Tato skierowany został do roboty w kopalni soli, ale po kilku miesiącach powrócił. Najmłodszy syn jeszcze nie pracował bo miał dopiero 8 lat. Brat zatrudnił się do pracy w polu, a siostry w fabryce sznurków: jedna kręciła kołowrotkiem, druga układała len. Podczas ich pracy nikt nie zajmował się najmłodszym, on musiał sobie radzić sam.

W Jegorowce otworzono polską szkołę, nasz bohater poszedł do pierwszej klasy, ale nie rozumiał z polskiej mowy, bo przez cały czas rozmawiano po rosyjsku. Po paru tygodniach więc zrezygnował ze szkoły, bo nie miał pojęcia o czym nauczyciel mówi. Tato powrócił po paru miesiącach, ale przywiózł trochę soli. Teraz zamieniał ją na kukurydzę z której robiono mąkę. Dzięki temu mogliśmy piec placki, były one podobno bardzo smaczne i duże. Pewnego dnia ojciec z Panem Wiśniewskim znaleźli konopie. Zerwali je i zjedli. Po paru godzinach sąsiad chodził po polu i gwizdał, nie odpowiadał na żadne pytania, na drugi dzień nic nie pamiętał. Było to zapewne odurzenie bo zjadł jej za dużo i dlatego tak dziwnie się zachowywał.

Będąc w tamtych stronach ludzie nauczyli się przede wszystkim kraść i teraz wraz z kolegami szabrowali na pobliskim bazarze jabłka i serki. Często chodzili grupami 3 – 4 osobowymi, bo samemu trudno było coś zdobyć do jedzenia. Niekiedy kupcy sami dawali im coś do zjedzenia jak kapustę czy kwaśne mleko.

W Kazachstanie rosły arbuzy, melony i słoneczniki, co pozwalało się ratować przed głodem. W tych owocach jest bardzo dużo wody. Dzieci zjadały ich mnóstwo, dlatego miały duże brzuchy i cienkie nogi. W Jegorowce znowu nie było najgorzej. Pomagali im nawet Amerykanie, od których dostawali dary w postaci pożywienia. W paczkach była: mąka, masło, mleko i landrynki. Niekiedy otrzymywali nawet buty. Ale kto ich nie miał to nawet po śniegu chodził boso. Co dziwne w tym wszystkim dzieci chodzące boso po śniegu nie chorowały.

W 1945 roku czyli po zakończeniu wojny wszyscy otrzymali pozwolenie na wyjazd z Kazachstanu. Każdemu wręczono specjalny dokument, tylko najstarszy brat nie dostał pozwolenia, ponieważ ożenił się z Rosjanką i adoptował jej dziecko i musiał pozostać aby zapewnić dziecku opiekę. W podobnej sytuacji było wielu ludzi, ale niektórzy zaryzykowali i jechali bez zezwolenia. Wśród nich znajdowało się wielu Żydów. Nawet kolega który był właśnie Żydem jechał z nimi i gdy zbliżała się kontrola to on chował się pod bagaże. W ten właśnie sposób wrócił do Polski. Oczywiście za ukrywanie uciekiniera mogli otrzymać surową karę. Na szczęście dotarli bez przeszkód do Polski.

Wracali znowu w bydlęcych wagonach, ale tym razem otwartych. Każdy musiał sobie przygotować prowiant na drogę. Nasz bohater nawet nie wie gdzie przekroczyli granicę i jak wjechali do Polski, wciąż miał problem ze znajomością języka polskiego.

Gdy dojechaliśmy do Jeleniej Góry, udaliśmy się do punktu repatriacyjnego, dzięki temu tato łatwo mógł nas odnaleźć. Miasto wyglądało zupełnie inaczej niż tamte rosyjskie.

Wcale nie było zniszczone mimo że wojna się już zakończyła. Zobaczyliśmy piękne domy i zakłady pracy, które zapewne dawały zatrudnienie mieszkańcom. Największym zaskoczeniem dla Władysława były wózki dziecięce, które pierwszy raz w życiu zobaczył, no i były takie pomysłowe.

Przez pierwszy rok mieszkali i pracowali u gospodarza w Łomnicy. Jednak wnet otrzymali swój dom i do tego odpowiednia ilość ziemi – 7 ha ale w sąsiedniej wsi czyli w Wojanowie. Władysława posłano do szkoły podstawowej, na szczęści już język polski nie sprawiał jemu już takiej trudności jak przedtem. Chodząc do szkoły równocześnie w wolnych chwilach pomagał w gospodarstwie.

Obecne życie na swojej gospodarce znacznie się różniło od tego którego przez tyle lat był świadkiem. Początkowo młody chłopiec nie mógł się przyzwyczaić do nowych warunków i samego zachowania. Tu ludzie byli bogaci i posiadali wiele dóbr materialnych, ale myśleli tylko o sobie. Natomiast tam, przecież nie mieli prawie niczego ale często spotykali się wieczorami gdzie rozmawiali i śpiewali. Ciągłe jeden drugiemu powtarzał że mimo głodu i chłodu cały czas wszyscy są weseli. Wtedy życie tam nabierało jakiegoś sensu, a tu ?

Po ukończeniu 7 klasy szkoły w Łomnicy, zatrudnił się w fabryce papieru w Łomnicy jako goniec. Następnie pracował na przeładunku na poczcie w Jeleniej Górze. W 1953 roku poszedł na kurs mechanizacji rolnictwa w Świebodzicach, po którym otrzymał pracę w POMie. W ciągu dnia pracował w polu, a wieczorami naprawiał sprzęt rolniczy. Wolne chwile spędzał w domu, a w niedziele chodził na zabawy ludowe do Karpnik, gdzie poznał przyszłą żonę Małgorzatę Kowalską. Oświadczyli się w 1957 roku i wtedy wzięli ślub. Teraz zmienił znowu miejsce pracy na fabrykę papieru w Dąbrowicy. Wkrótce bo rok później urodził się syn Mirosław.

W 1959 roku kolejny raz zmienił pracę, na fabrykę porcelany w Mysłakowicach. W tym czasie Władysław zrobił prawo jazdy, co dało mu większe możliwości w zdobyciu pracy. Teraz zatrudnił się w Funduszu Wczasów Pracowniczych, gdzie jeździł nyska i dowoził środki spożywcze. W 1961 roku urodził się drugi syn Romek. W następnym roku Władysław zatrudnił się w Ośrodku Transportu Leśnego. Zajmował się przewożeniem drzewa i praca była dosyć swobodna i nie krępująca. W 1966 roku urodziła się córeczka Dorota. Następnie po zakupie samochodu przez kilka lat był taksówkarzem.

W 1974 roku Pan Władysław pojechał na Białoruś aby zobaczyć swój rodzinny dom, niestety z ich domu pozostały tylko gruzy. Jak zauważył mieszkańcy Białorusi pili bardzo dużo alkoholu, który w większości sami wytwarzali i co ciekawe oni pili ciągle ze szklanek a nie z kieliszków. W 1976 roku Władysław założył swoją firmę Zakład Transportu Leśnego w którym pracował aż do emerytury.

W 1981 roku razem z żoną udali się na wakacje do Kazachstanu. Pojechali więc do Warszawy, a następnie do Moskwy, skąd udali się do miejscowości Czemkient, gdzie niedaleko mieszka jego brat Jan. Tam od razu odradzono nam rozmawiać w języku polskim, bo miejscowa ludność nie lubiła Polaków. Tam również bardzo krytykowano politykę naszego kraju i poczynania samego Wałęsy. Porównywano go z Dzierżyńskim, ponieważ obaj działali na niekorzyść Rosji. Poza tym kazachstańska ludność twierdziła, że musi na nas pracować, bo mamy wiele niedostępnych dla nich artykułów spożywczych: banany, pomarańcze. Jednak ich poglądy nie przekładały się na ich stosunek do nich, każdy z poznanych odnosił się do nich z szacunkiem.

Dzis Pan Władysław ma już wnuki, z których jest bardzo dumny i prowadzi obecnie spokojne i szczęśliwe życie, choć niekiedy wraca wspomnieniami do tamtych koszmarnych czasów i zadaje sobie pytanie dlaczego do tego musiało dojść, kto za to wszystko jest odpowiedzialny ?



## 19. Jan Wolak z ulicy Wojska Polskiego.

W piękny lipcowy poranek 1945 roku, grupa kolegów i koleżanek z Brzeziny koło Nowego Sącza, wyruszyła na Ziemię Odzyskane – na „Dziki Zachód”. W grupie tej byli: Maria Krzyżak, jej brat Jan Krzyżak oraz Władysław Wolak. Wszyscy oni mieli dopiero po 20 kilka lat, jednak ciężka sytuacja rodzinna i brak perspektywy na przyszłość zmusiła ich, do opuszczenia ojczystych stron i udania się w nieznane. Z Urzędu Gromadzkiej Rady Narodowej w Gródku nad Dunajcem, otrzymali stosowne skierowanie oraz zaświadczenie umożliwiające ich do objęcia domów mieszkalno – gospodarczych i ziemi uprawnej.

Pierwszym miejscem docelowym dokąd się skierowali była Kamienna Góra. Jednak po bliższym zapoznaniu się z okolicą, postanowili udać się dalej. Drugim i ostatnim miejscem okazał się Turońsk – Mysłakowice. Gospodarstwa zajmowali kolejno: Maria Krzyżak – zamieszkała na ulicy Wojska Polskiego 9, Władysław Wolak - objął gospodarstwo rolne o powierzchni 5,2 ha na ulicy Wojska Polskiego 17, Jan Krzyżak – zamieszkał wspólnie ze swoim wujkiem Franciszkiem Waligórą przy ulicy Daszyńskiego – było to również gospodarstwo rolne. Jak się później okazało, jeszcze sporo osób przyjechało stamtąd, aby właśnie tu się osiedlić. Domy były okazałe mieszkalno – gospodarcze, bardzo zadbane a niektóre nawet tyrolskie. Okolica piękna, górzysta podobna do ojczystych stron.

Od przyjazdu aż do osiedlenia, Polacy mieszkali razem z dawnymi właścicielami – Niemcami aż do wiosny 1946 roku. Do siebie odnosili się z szacunkiem i wyrozumiałością, na co są dowody. Otóż w późniejszym czasie dawni mieszkańcy wielokrotnie odwiedzali swoje rodzinne domy. Między nimi nie było kłótni ani nienawiści, nowi właściciele bardzo dobrze rozumieli przywiązanie do rodzinnego domu i całej posiadłości. Odjeżdżając zmuszeni zostali do pozostawienia psa Prymsa, który bardzo tęsknił za swoim panem, pomimo że był dobrze traktowany przez nowych gospodarzy.

Powoli miały pierwsze ciężkie miesiące w organizowaniu nowej gospodarki i szukaniu dla każdego pracy stałej, która przynosiła by stały dochód. Nowi gospodarze trzymali się razem i wspólnie rozwiązywali swoje problemy. Razem pracowali i bawili się, czego owocem były nowe związki. Należy tutaj jeszcze zaznaczyć bardzo ważną rzecz, otóż Władysław Wolak podczas II wojny światowej, gdy w rodzinnym domu panowała wielka bieda, sam dobrowolnie zgłosił się do pracy w Niemczech. Przez cały okres wojny pracował jako wyrobnik na wsi w gospodarstwie rolnym, za co otrzymywał wyżywienie i ubranie. Jak sam opowiadał trzeba było ciężko pracować, ale nie był przez nikogo poniżany czy prześladowany. Z chwilą zakończenia wojny powrócił do ojczyznanego kraju. W latach 90 tych za pracę w Niemczech otrzymał odszkodowanie.

W październiku roku, po 3 miesięcznej znajomości – Maria Krzyżak i Władysław Wolak – zawarli ślub. Był to pierwszy ślub kościelny w nowej parafii Łomnica w dniu 25 października 1945 roku, a ślubu udzielił im ks. Nosolewski. Na ich weselu było ponad 100 osób. Przyjęcie weselne dla rodziny i przyjaciół odbyło się u sąsiada czyli u pana Siólkowskiego. Podobno było miło i wesoło i bardzo swojsko. Z tego związku na świat przyszło 10 dzieci tj. 6 synów i 4 córki.

Krystyna – 1946, Władysław – 1947, Jerzy – 1949, Tadeusz – 1950, Jan – 1952, Barbara – 1954, Marian – 1955, Elżbieta – 1957, Grzegorz – 1960, Andrzej – 1961 r. Wychowanie i wykształcenie tak dużej gromady dzieci kosztowało dużo pracy, poświęcenia i wielkiej dbałości o każdego z nich w tych trudnych warunkach na obcej ziemi. Trudna sytuacja w kraju i w rodzinie, jednak nie przeszkodziła w prawidłowym wychowaniu dzieci. Główny ciężar i obowiązek, dotyczący wychowania dzieci przejęła mama. To właśnie ona troszczyła się o żywność, ubranie i bezpieczeństwo każdego z dzieci. Zaś mąż ciężko pracował w polu i na gospodarstwie aby zarobić na utrzymanie całej rodziny.

Oprócz pracy na swojej posiadłości, dorabiał sobie przywożeniem drewna opałowego, z lasu dla zamawiających ludzi. Zrywka drzewa w lesie, a było to możliwe dlatego że posiadał parę koni co w takiej pracy było niezbędnym warunkiem. Jeszcze innym zajęciem na prośbę ówczesnego proboszcza ks. Władysława Lupy, było odwożenie specjalnym karawanem otrzymanym z parafii z Kowar, zmarłych z kościoła lub kaplicy na cmentarz. Początkowo cała rodzina była temu zajęciu bardzo przeciwna, ale przecież i z tego był jakiś zarobek który przecież tak był potrzebny w tak licznej rodzinie. Tato usługę tą prowadził do czasu wybudowania kaplicy na cmentarzu w 1990 roku. Do jego obowiązku należało również przywożenie choinek z okazji Bożego Narodzenia, czy brzózek na Zielone Świąta. Mimo tak licznych prac, zawsze znalazł czas aby we Świąta Wielkanocne razem z kolegami ze Straży Pożarnej, pełnić wartę przy Bożym Grobie.

Dzieci widząc swego ojca, w tak różnych posługach dla kościoła i parafii, były bardzo z niego dumne. Najważniejszym celem rodziców, było tak wychować swoje dzieci, aby służyły sobie. Ludziom i Bogu. Dzieci często były świadkami, jak rodzice po ciężkiej całodzienniej pracy, klękali do wieczornej modlitwy, prosząc Boga o dalszą siłę do pracy i do wychowania tak licznej gromadki dzieci.

Pierwszym smutnym wydarzeniem w rodzinie była najpierw choroba a później śmierć córki Władysławy, która zmarła w wieku 7 lat na rozlany wyrostek robaczkowy. Pomimo szybkiej pomocy lekarskiej, nie udało się jej utrzymać przy życiu. Była to wielka rozpacz z utraty tak małego jeszcze dziecka, teraz tym bardziej należało się opiekować pozostałymi. Czas nieubłaganie płynął do przodu, dzieciom przybywało lat, coraz więcej potrzebowali i było co niemiara obowiązków. Pieniądze potrzebne były na żywność, ubranie, książki, przybory bo kolejne dziecko szło już do szkoły. Po ukończeniu podstawówki w Mysłakowicach, każde z dzieci kierowało się do Jeleniej Góry aby tam zdobyć jakiś zawód. Teraz pieniądze były jeszcze potrzebne na dojazdy do nowej szkoły.

Krystyna - ukończyła szkołę gastronomiczną i pracowała w zawodzie kucharza, Jerzy – ukończył kurs zduna, malarza i w tych zawodach pracował, Tadeusz – szkoła gastronomiczna i pracował jako kelner, Jan – zdobył zawód kierowcy, Barbara – najpierw ogólniak a później ekonomik pracując jako księgowa, Marian – zdobył zawód dekarza, Elżbieta – została kelnerką, Grzegorz – prowadził z żoną sklep spożywczy, Andrzej – pracował w Zakładach Lniarskich. Czyli wszystkie dzieci zdobyły zawody i podejmowały pierwszą prace powoli odciążając rodziców.

Po ukończeniu szkół i zdobyciu zawodu kolejne dzieci zaczęły zawierać związki małżeńskie i opuszczać swój rodzinny dom. Pierwsza za mąż wychodzi Krystyna za Bronka Srokę – 1965 r, Jerzy – żeni się z Elżbietą Podsadowską w 1973 r, Janek żeni się z Janiną Kozyra w 1974 r, również w 1974 roku za mąż wychodzi Barbara za Ryśka Lulka, podobnie w tym samym roku żeni się Tadeusz z Mirosławą Solarczyk. Teraz jest kilka lat przerwy w ślubach aby zebrać siły dla pozostałych. Marian żeni się w 1981 roku z Anna Kieloch, teraz za mąż wychodzi Elżbieta za Romka Witczaka, w 1983 roku żeni się Grzegorz z Ewą, jako ostatni żeni się Andrzej z Iwona Kieloch.

Na gospodarstwie wspólnie z rodzicami zostaje Marian ze swoją rodziną. Rodzice decydują się i przekazują jemu gospodarstwo rolne w dobrej nadziei że dalej i wspólnie będą gospodarować, a na starość zostaną pod jego opieką. Nowy gospodarz z wielką ochotą zabiera się za gospodarowanie. Aby zakupić potrzebne maszyny i urządzenia pobiera kredyt, również należy wyremontować dom i zmienić jego standard i wygody na obecne czasy. Cała rodzina pochwała jego zamiary i pomaga w gospodarce w niektórych pracach jak żniwa czy wykopki. Chociaż już wszyscy mieszkają oddzielnie jednak nadal utrzymują łączność z rodzicami i rodzinnym domem. Ale i tu jak wszędzie trafiają się nieszczęścia i nie wszystko idzie tak jak byśmy chcieli, jakbyśmy sobie tego życzyli.

## 20. Wojciech Waligóra z ulicy Daszyńskiego.

Wojciech Waligóra z żoną Wiktoria oraz synem Stanisławem 15 lat i córką Hanną 12 lat, przyjechali do Turońska – Mysłakowic dnia 25 sierpnia 1945 roku z Roztoki Brzeziny koło Nowego Sącza. Ich droga była długa i ciężka, dlatego jechali kilka dni i w dodatku w wagonach towarowych. W tym samym wagonie jechały jeszcze inne rodziny z tamtych stron jak np. Wolakowie czy Krzyżakowie, które również osiadły w Mysłakowicach. Wszyscy jechali na Ziemię Odzyskaną aby tam zająć puste domy po Niemcach. Rząd polski zachęcał ludność ubogą z terenów wschodnich do emigracji na zachód po zakończeniu działań wojennych.

To że trafili do Mysłakowic to był naprawdę przypadek, lub zrządzenie losu, gdzie rzucił ich ślepy los. Wojciech Waligóra oraz rodzina Krzyżaków zamieszkali w domu drewniano – murowanym – tyrolskim przy ulicy Tatrzańskej 14 (obecnie Daszyńskiego 12). Mieszkająca tam rodzina niemiecka, musiała opuścić wszystkie swoje pomieszczenia i udostępnić nowym lokatorom, im zaś przydzielono tylko jedno pomieszczenie w którym musieli teraz żyć wspólnie. W dość krótkim czasie, rodzina Krzyżaków otrzymała przydział na mieszkanie przy ulicy Łomnickiej 3, do którego się wprowadzili. Waligórowie prowadzili gospodarstwo rolne o powierzchni 11 ha.

Tego roku w sierpniu otrzymali wniosek o przyznanie prawa własności nieruchomości ziemskiej na Ziemach Odzyskanych, zaś akt nadania nr. 1836 otrzymali dopiero dnia 14 stycznia 1948 roku od Ministra Ziem Odzyskanych Rzeczypospolitej Polskiej. Dawni właściciele niemieccy tej posiadłości, mieszkali z nimi do wiosny 1946 roku, kiedy to zostali przymusowo wysiedleni i zmuszeni do wyjazdu do Niemiec, pociągiem z bocznicą kolejowej w Mysłakowicach.

W 1955 roku umiera żona Waligóry Wiktoria, zaś on na drugi rok żeni się ponownie z wdową Katarzyną Kieloch, która miała 4 synów i do Mysłakowic przyjechała w 1951 roku z Batowa koło Skarżyska Kamiennej. Jej synowie to Józef, Władysław, Zdzisław i Stanisław. W 6 lat później czyli w 1957 roku, tragicznie zginęła córka Waligóry Hanna w wieku 24 lat, pod kołami pociągu, pozostawiając po sobie córkę, której wychowaniem zajęła się jej macocha Katarzyna. W rok później czyli w 1958 roku również tragicznie ginie potrącony przez pociąg syn Katarzyny Zdzisław mając zaledwie 19 lat. W tym samym roku, drugi syn Władysław żeni się z Janiną Bryniak i razem zamieszkują w Mysłakowicach przy ulicy Wojska Polskiego 30. Najmłodszy syn Stanisław po odbyciu służby wojskowej, wyjechał do Wadowic gdzie założył swoją rodzinę. W 1959 roku najstarszy syn Józef ożenił się z Heleną Nowacką, z Bukowca a pochodzącą z Rożnowa koło Nowego Sącza.

Józef i Helena mieli 6 dzieci: Bożena, Elżbieta, Lesław, Bogusława, Iwona i Krzysztof. W 1968 roku umiera Wojciech Waligóra, wdowa Katarzyna wraz z synem Józefem i jego żoną, prowadzi po nim gospodarstwo rolne. Helena oprócz pracy w domu i na polu, podejmuje prace w pobliskiej fabryce jako tkaczka. Po 30 latach czyli w 1989 roku, umiera Józef Kieloch w wieku 54 lat, zaś w 2 lata później w 1991 roku umiera jego matka Katarzyna w wieku 84 lat. Wdowa Helena dalej pracuje w fabryce i prowadzi z dziećmi gospodarstwo rolne. W roku 2008 po ciężkiej chorobie umiera również Helena Kieloch.

W starym domu pozostaje najstarsza córka Bożena zamężna za Jarka Matalewskiego którzy mają 2 dzieci. Z nimi mieszka również najmłodszy syn Krzysztof oraz Stanisław który mieszka tu od 1956 roku i obecnie ma 80 lat od zawsze głuchoniemy. Elżbieta wyszła za Wójcickiego i ma 3 dzieci i mieszka w Mysłakowicach, Lesław – ożenił się z Zofią i mają 2 dzieci i mieszkają w Mysłakowicach, Iwona – wyszła za Wolaka i mają również 2 dzieci i mieszkają w Mysłakowicach. Ich dom rodzinny jako ładny dom tyrolski zawsze wzbudza wielkie zainteresowanie różnych turystów.

## **21. Jan Gródek z ulicy Daszyńskiego.**

Jan Gródek był żonaty ze Stanisławą z domu Lipińską. Pobrali się w 1939 roku i zamieszkali we wsi Roztoka – Brzeziny w powiecie Nowy Sącz. Po zakończeniu II wojny światowej w październiku 1945 roku Jan przyjechał na Ziemię Zachodnie – Odzyskane do Turońska – Mysłakowic, podobnie jak wielu innych mieszkańców z tej wioski. Wtedy można było jeszcze zajmować gospodarstwa rolne w których jeszcze przez jeden rok mieszkali dawni ich właściciele – Niemcy. Bardzo spodobało mu się gospodarstwo rolne na ulicy która prowadziła do fabryki lniarskiej, dzisiaj jest to ulica Daszyńskiego 9 – czyli dom tyrolski mieszkalno – gospodarczy. Dawni mieszkańcy przeprowadzili się na piętro a ojciec zajął parter domu.

Po kilku miesiącach dojechała mama Stanisława i razem zamieszkali. Był to dla nich bardzo dziwny czas bo w jednym domu było dwóch właścicieli. Niemcy wyjechali wiosną 1946 roku – jako przymusowe wysiedlenie, zostawiając całe gospodarstwo i dorobek całego życia. Gródkom tutaj urodziło się 3 córki: Stanisława, Maria i Genowefa oraz jeden syn Janek. Tak się wszystko szczęśliwie złożyło że wszystkie dzieci zamieszkały tu w Mysłakowicach.

Stanisława wyszła za mąż za Jana Sokołowskiego również mieszkańca Mysłakowic i mają 3 dzieci: Marzena, Joanna i Krzysztof. Maria – wyszła za mąż za Mariana Szorkina również mieszkańca Mysłakowic mają syna Roberta, który ze swoją żoną prowadzi gospodarstwo agroturystyczne. Genowefa – wyszła za mąż za Ryszarda Kowalczyka mieszkańca Mysłakowic mają dwóch synów i obaj mieszkają za granicą. Jan – po ukończeniu szkoły rolniczej i śmierci rodziców przejął po ojcu dawne gospodarstwo. Razem z żoną Wanda wybudowali nowy dom i gospodarstwo przy ulicy Szkolnej, a dom rodziców sprzedali dzieląc się zyskiem z rodzeństwem. Razem mają 3 dzieci. Według miejscowej plotki dawne gospodarstwo Gródków zostanie zamienione w agroturystykę.

## **22. Wojciech Szkarłat z ulicy Daszyńskiego.**

Wojciech Szkarłat do Mysłakowic przyjechał w 1946 roku ze wsi Tropie powiat Nowy Sącz i zajął wolny dom w którym mieszkała właścicielka Niemka. Matka Anna przyjechała nieco później z dwójką dzieci tj. Krystyna i Wojciechem, natomiast Bogumiła urodziła się już w Mysłakowicach. Krystyna wyszła za mąż w Bolkowie i tam mieszkają mają jednego syna. Wojciech – najpierw mieszkał z rodzicami a później w Piotrkowie z żoną Danutą, mieli jednego syna. Bogumiła – urodziła się w 1947 roku i tu chodziła do szkoły, a później podjęła pracę w Zakładach Lniarskich, gdzie pracowała aż do emerytury. W 1946 roku rodzice sprowadzili ze swoich rodzinnych stron Woźniak Janinę jako pomoc w swoim gospodarstwie. Janina również podjęła pracę w fabryce lniarskiej w 1950 roku na wydziale przędzalni, gdzie również pracowała aż do emerytury. W wolnych chwilach pomagała w domu i gospodarstwie rolnym Szkarłatów. Rodzice mieli gospodarstwo rolne w ilości 7 ha, która zdali na skarb państwa w 1970 roku za uzyskana emeryturę rolniczą.

Obecnie obie Panie Bogumiła i Janina mieszkają w dawnym domu tyrolskim i należy zaznaczyć że bardzo o niego dbają co jakiś czas robiąc małe remonty w postaci malowania czy wymiany desek balkonowych odpowiednio wyciętych. Dom stanowi dla turystów miły przystanek do oglądania i robienia zdjęć pamiątkowych. Jest również wspaniałą wizytówką wsi Mysłakowice.

### **23. Jan Nowak z ulicy Daszyńskiego.**

W maju 1945 roku Jan Nowak pochodzący z Roztoki nad Dunajcem z powiatu nowy Sącz, przyjechał do Turońska – Mysłakowic jako były żołnierz Batalionów Chłopskich, który dostał skierowanie na zasiedlenie na Dolnym Śląsku. Na krótki czas zatrzymał się u Skalnego, który mieszkał w domu tyrolskim w pobliżu kościoła. Po kilku dniach szukanie wolnych i jeszcze nie zajętych przez Polaków domów, postanowił zająć dom naprzeciwko Gródka na ulicy Daszyńskiego, w którym mieszkali jeszcze Niemcy. Oni zatrzymali duży pokój na dole po lewej stronie, a pozostałe zajął Nowak dla swojej rodziny.

Część rodziny tj. matka Maria oraz synowie Teofil i Heniek, przyjechali w październiku tego samego roku, a następnie na wiosnę 1946 roku dojechała babcia Zofia i córka Marysia oraz syn Bronisław. Wszystkie dzieci chodziły tu w Mysłakowicach do szkoły podstawowej, a następnie do Jeleniej Góry do szkół zawodowych i techników. Rodzina niemiecka wyjechała z Mysłakowic w czasie ogólnego wysiedlenia tj. na wiosnę 1946 roku na bocznice kolejowa skąd odjechali do Jeleniej Góry, a później do Niemiec. Rodzice otrzymali w posiadanie 5,8 ha ziemi z przydziału oraz 1 ha łąki z dzierżawy od Zarządu Wodnego za wałem. Pole które otrzymali leżało wokół domu i na ulicy Szkolnej. Pod koniec lat 60 tych, ich dom zapalił się od iskry pociągu parowego, a było to w jesieni już po żniwach, gdzie w stodołach było jeszcze nie omlócone zboże. Po otrzymaniu odszkodowania, dom odremontowano, ale jednak nie zachowano pierwotnych wycinków balkonowych, być może że w tym czasie był to za duży koszt dla gospodarza.

Bronek po ukończeniu technikum papierniczego, podjął pracę jako mechanik, a później energetyk w papierni w Łomnicy. Ożenił się z Teresą Grecką która mieszkała na ulicy Łomnickiej, a pracowała w straży przemysłowej w papierni w Miłkowie. Najpierw mieszkali u Nowaków, a później wyjechali do Jedliny, następnie powrócili do Mysłakowic i otrzymali mieszkanie w bloku nr 16 na ulicy Daszyńskiego. On pracował w fabryce lniarskiej najpierw w zaopatrzeniu a później w energetyce. Razem mieli 4 dzieci – 3 córki i syna. Irena mieszka w Jeleniej górze i jest radcą prawnym, Grażyna – wyjechała do Niemiec, Halina – wyjechała do USA, Gabrys – zginął tragicznie gdy chodził do szkoły średniej. Bronisław zmarł w 1965 roku na zawał serca, zaś jego żona mieszka do dzisiaj na ulicy Włókniarzy.

Maria po podstawówce uczęszczała do szkoły ekonomicznej w Jeleniej górze, mieszka w Kowarach gdzie pracowała jako księgowa w fabryce filców, a później w MPGK. Wyszła za mąż za Alojzego Trzmiela i mają dwoje dzieci. Krzysztof jest spawaczem i pracuje w zakładzie lniarskim, Grażyna – jest pracownikiem Spółdzielni mieszkaniowej w Kowarach.

Teofil – zdobył zawód kierowcy i ożenił się z dziewczyną która mieszkała w hotelu robotniczym w Mysłakowicach z Teresą Kłok, po jej śmierci ożenił się ponownie z Wiktoria i zamieszkali w rodzinnym domu. Z pierwszą żoną mieli dwoje dzieci Leszek i Lilka. Z II żoną mieli troje dzieci Piotrek, Gośka i Ilona. Zmarł w 1981 roku, a żona wyszła ponownie za mąż za Jana i dalej z córką i jej rodziną mieszkają w domu rodziców.

Henryk – wyuczył się zawodu tokarza, najpierw pracował w domu na gospodarce, później jako kierowca, a następnie w firmie remontowej w zakładach lniarskich w Mysłakowicach. Ożenił się w 1968 roku z Lilią z domu Koch, która była krawcową. Ich dzieci to: Renata – krawcowa w Jeleniej górze, Mariola – pracuje w plastikach w Jeleniej górze, Krzysiek – zajmuje się renowacją mebli i mieszka w Łomnicy. Żona jego zmarła 2 lata temu i Henryk mieszka sam w Mysłakowicach na ulicy Włókniarzy. Henryk często jeździ do syna i pomaga mu w jego pracy, dzięki temu ma jakieś zajęcie.

